№ 42. Warszawa, dnia 3 (15) Października 1887 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60. kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

UNIWERSYTETY W AMERYCE.

(Dokończenie.)

II.

Urządzenie abonamentu w Ameryce litograficznych odczytów profesorów uniwersyteckich, zastosowano w Anglii do wykładu wyższych nauk dla kobiet.

Urządzone przed sześciu laty w Glasgowie w ten sposób kursa nauk historycznych, filozoficznych i filologicznych, po trzech latach liczyły już 300 uczenic korespondentek, rozrzuconych po wszystkich częściach świata: na Przylądku Dobrej Nadziei, w Kanadzie, w Indyach, Oceanii i t. d.

Za każdy specyalny kurs płaci uczenica-korespondentka na naszą monetę około 12 rubli na rok i to nie odrazu, a w trzech ratach. Nadto jest kilka stypendyi.

Na początku każdego roku szkolnego otrzymują korespondentki program z podziałem pracy na dwutygodniowe terminy.

W celu sprawdzenia postępu, korespondentki przesyłają profesorowi w pewnych odstępach czasu tak zwane odpowiedzi, które poprawione i opatrzone właściwemi wskazówkami, bywają im zwracane.

Znaczenie nauki o tyle jest ważnem, o ile może być ono zastosowana do celów praktycznych. Rozwój pojedyńczych gałęzi wiedzy jest dzisiaj już tak wielkim, że na poznanie kilku z nich nie wystarcza życie człowieka.

Musimy specyalizować swoją pracę, biorąc na potrzeby codziennego życia z innych działów umiejętności i sztuki zaledwie ogólniki. Tymczasem życie stawia nas nieraz w warunkach, w których szczegółowe i dokładne wiadomości z obcych nam nauk okazują się niezbędne.

Podręczniki i encyklopedye niezawsze odpowiadają celowi i zresztą nie dla każdego są dostępne. Potrzebę tę zrozumieli w Anglii i starali się jej zaradzić.

Niejaki lord Truro uorganizował Towarzystwo, które rozporządzając milionowym kapitałem, założyło Uniwersalne biuro informacyi w zakresie sztuki, umiejętności, przemysłu, handlu i sportu.

Towarzystwo wychodząc z zasady, że potrzeba otrzymywania prędkich i wyczerpujących objaśnień w kwestyach specyalnych, wymaga istnienia takiej instytucyi, zapewniając, że w skład założonego biura wchodzą największe powagi naukowe i specyaliści w powyższym zakresie.

Towarzystwo, mając dostęp do najbogatszych bibliotek, muzeów i innych instytucyi, jest w stanie udzielać objaśnień o najrzadszych dziełach i okazach sztuki.

Z równą dokładnością dawane są informacye w kwestyach parlamentarnych, statystycznych, prawnych, przez wytrawnych mężów i najwybitniejszych europejskich prawników.

Literaci, dziennikarze, pedagodzy, żyjący zdala od wielkich bibliotek i muzeów, mogą czerpać w biurze tem potrzebne im wiadomości.

W zakresie nauk medycznych udzielane są wiadomości o wszelkich nowych odkryciach i środkach dotąd nieznanych, lub mylnie stosowanych.

Dla sztuki, umiejętności, teologii wszelkich wyznań, Towarzystwo zapewniło sobie współpracownictwo specyalistów i uczonych duchownych.

Taką samą pomoc posiada dla wszystkich kwestyi odnoszących się do sztuki wojennej, lądowej i morskiej, agronomii, mechaniki, nowych wynalazków i udzielonych na nie patentów, budownictwa, handlu i finansów.

Obszerny prospekt, który mamy przed sobą, ogłoszony w formie broszury o 12 stronicach, przyrzeka wyczerpujące odpowiedzi na pytania w kwestyach języków tak starożytnych, jak i prawie wszystkich żyjących, pomiędzy któremi, powiedz-

my nawiasem, wspomniany jest i polski, których udzielają specyalni lingwiści.

Nie dość na tem, olbrzymie to przedsięwzięcie obejmuje jeszcze działy: mody, domowego gospodarstwa, kucharstwa, hygieny nawet, etykiety dworskiej i towarzyskiej.

Nadmienić wypada, że każda udzielona przez biuro informacya kosztuje jeden szyling, czyli według dzisiejszego kursu, około pół rubla.

KONIEC.

Z PIOSENEK WŁ. TRZCIŃSKIEGO.

Gdzie domek mój i gdzie sad,
Gdzie białe brzozy rosną,
Tam złoty kwiatek zimą zbladł,
Ah, czy zakwitnie wiosną?

Gdzie pieśń po niwie leci wzdłuż,
Drży echem wśród parowu,
Tam dźwięk radości skonał już,
Czy zmartwychwstanie znowu?

Gdzie oczekują blasków zórz,
Słuchając serca bicia,
Tam zamarł duch śród walk i burz,
Czy wróci znów do życia?...

— O wiośnie kwiat zakwitnie rad,
Spleśniałe listki zrzuci,
Radcsnych dźwięków spadnie grad
I duch do życia wróci!

Gdy słonko przyśle hojny dar,
Wiązankę blasków ciepłą,
Powstanie znów wiosenny czar,
Wszystko co w zimie skrzepło.

Zielona góra, mglisty jar
Zakwitną jak kobierce,
Dość będzie nam zimowych kar,
Dość tobie cierpień, serce!

DO DZIEWCZĘCIA.

Ciesz się, dziewczę, twoją wiosną,
Bo za wiosną przyjdzie zima,
Zbieraj róże póki rosną,
Bo pod śniegiem kwiatków nie ma!

Jasny strumyk pędzi zdala,
Po kamykach piosnkę nuci,
Raz srebrzysta przemknie fala
I już więcej nie powróci.

Nasza młodość — marzeń kilka,
Jak sen lekki szybko mija,
Bo ją rani każda chwilka,
A ostatnia z nich zabija!

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

No, przynajmniej ten bolesny zawód posłuży mu do stworzenia arcydzieła — dodał Maksym.

— Tak, masz pan słuszność, to wielka korzyść— odparł Borrèze po krótkiej chwili milczenia.—Artysta nic nie stracił na tem, że serce jego poszarpało się w kawały.

— Jakto, mój przyjacielu! — zawołała pani Maleyra, czy to ty chcesz przedsięwziąć tę olbrzymią pracę?...

W oczach poczciwej kobiety, małżonki bogatego przemysłowca, utworzenie arcydzieła równało się jakiemuś świetnemu interesowi. Lucyan nie dostrzegł w jej głosie odcienia lekkiej ironii i tak dalej mówił:

— Mam ten zamiar i spodziewam się, że dzieło jakie utworzę, przekaże moje nazwisko potomności; chociaż tryumfem tym cieszyć się nie będę, bo świat ujrzy je dopiero po mojej śmierci.

— Co za myśl, wielki Boże!... Strzeż-że się przynajmniej od naśladownictwa. Zdaje mi się, że ja już coś widziałam w tym rodzaju.

— I gdzież to, droga pani?

— We wszystkich naszych kościołach: to uosobienie Matki Bożej, mój przyjacielu. Idź tylko zobaczyć posąg *Notre-Dame-des-Victoires*. Lecz już czas na obiad, chodźmy do stołu, gdyż umieram z głodu.

Katarzyna przez cały wieczór przypatrywała się uważnie malarzowi, tak jak to pierwej uczyniła Genowefa, a radość i smutek migały naprzemian na jej pięknej, wyrazistej twarzy.

Dlaczego on mówi o tych uczuciach? czyżby ich sam doznawał? Czy one tak potężnie zawładnęły jego duszą, że przez nie unieśmiertelnić się myśli? Na jakichże to gruzach zbuduje swoje arcydzieło? Czy i jego sny rozpierzchły się tak jak jej dziewicze marzenia, a może w jego sercu kryje się bolesna rana?

Katarzyna milczała zadumana, chociaż jej życie płynęło tak spokojnie i bez uniesień, że chyba nie mogła znać owych gwałtownych uczuć, o których mówił Lucyan. Może pragnęła czasami wznieść się ku wyżynom, ale obowiązki powszedniego życia ostudziały jej zapał.

I ona miała swój ideał, lecz go się wyrzekła niestety! A teraz ogarniał ją żal gorzki za tem co się już odstać, ani odmienić nie mogło! Na ścieżce swego życia mogła już spotkać tylko boleść. Przeczuciem odgadła jej zbliżenie i ogarnęła ją jakaś nieokreślona trwoga.

Wieczór wydał jej się nieznośnie długim, pragnęła być co prędzej samą aby wybadać swe serce, choćby się miało zakrwawić bólem i zamącić pokój jej życia, które pozornie tak się wydawało szczęśliwem.

II.

Od tygodnia Paryż cały zwiedzał pracownię Borrèze'a, ten przybytek sztuki w którym bogata broń, obrazy i posążki z kości słoniowej i bronzu tworzyły zachwycającą całość.

Koledzy malarza, którzy przyszli mu winszować sławy i powodzenia, nie mogli zaprzeczyć, że pracownia jego była najpiekniejszą w grodzie nadsekwańskim.

Nikt mu nie zazdrościł, wszyscy bowiem lubili go za jego uprzejmość i zupełny brak próżności do której poniekąd majątek i sława dawała mu prawo.

Lecz pomimo wszystkich przymiotów Lucyan był trochę oryginałem, trudno bo też o doskonałość na świecie. Oryginalność jego intrygowała ludzi a sposób życia kazał się domyślać jakiejś tajemnicy.

Gdy go jednak pytano, dziwił się, że się tak nim ludzie zajmowali, że był przedmiotem ich ciekawości.

— Cóż jest we mnie tak nadzwyczajnego?—mawiał. — Bywam w modnych teatrach, przyjmuję między dwunastą a trzecią, oddaję wizyty których nienawidzę; spaceruję po lasku choć mi w nim duszno i ciasno i bywam w klubie choć go nie lubię. Cóż mam czynić jeszcze?

Ale od rana do jedenastej drzwi jego były zamknięte dla wszystkich, pod pozorem, że samotność jest mu niezbędną do pracy. Zdarzało się jednak nieraz, że ktoś z kolegów przyszedłszy zabrać go ze sobą na śniadanie, i śladu tej pracy nie znalazł. Nad czem więc czas mu schodził?

Lecz pomimo nagłych zmian humoru, był bardzo pożądanym gościem w salonach, gdzie olśniewał dowcipem i eleganckiem obejściem.

Szczególniej kobiety przepadały za nim.

Katarzyna spotkała go jednego wtorku w teatrze francuzkim, lecz powitali się tylko ukłonem.

Młody malarz złożył u państwa Levallier kartę wizytową i był kilka razy u pani Maleyra, w godzinach w jakich wiedział, że ją nigdy nie zastanie i zaledwie przywitał ją spotkawszy się w jakimś obcym domu.

— Co to znaczy, młodzieńcze, mamże cię uściskać, abyś mnie raczył zobaczyć? — spytała poczciwa kobieta. — Oj! chciałabym ci dać dobrą nauczkę!... Czemu to nie pokazujesz się u nas?

Lucyan wymówił się jakimś błahym pozorem, nie mógł bowiem powiedzieć prawdziwej przyczyny dla której unikał jej domu.

Chciał w samotności przetrawić nieszczęśliwą miłość; niewolno mu już było kochać Katarzyny, czcił ją więc jak zmarłą.

Poranki trawił nad pracą, chcąc przelać na płótno swoje cierpienia i stracone szczęście. Pamięć ukochanej podniecała jego natchnienie.

Chwilami ręka mu opadała a przed zmęczonym wzrokiem zjawiała się czarowna postać.

Raz kiedy tak pieścił się z marzeniami, ta o której marzył wysunęła się zpo za indyjskiej zasłony. Postępowała ku niemu promieniejąca, uśmiechnięta w całym blasku swoich wdzięków.

Nagłym ruchem Lucyan odwrócił płótno do ściany, lecz Katarzyna i Genowefa stały już przy sztalugach.

Uśmiech zamarł na ustach młodej kobiety, gdyż spostrzegła dość już wyraźnie naszkicowany obraz.

Wyciągnęła drobne rączki, które drżącemi dłońmi uścisnął Lucyan.

— Pani tu! — wyszeptał stłumionym głosem.

Ona nie chciała się zdradzić, że widziała płótno, zaczęła więc swobodnie.

— Co ci jest, Lucyanie? Jesteś smutny, może nieszczęśliwy, a ja o tem nic nie wiem. Czyżbyś zapomniał o naszej przyjaźni?

I Katarzyna pochyliła się ku niemu z takim wyrazem serdecznej, tkliwej czułości, że młody człowiek niepomny na swoje cierpienia ani na obecność Genowefy, odpowiedział z zapałem:

— Ja nic nie zapomniałem i nie jestem już ani nieszczęśliwy ani smutny.

Genowefa przyglądała im się uważnie. Czoło artysty promieniało szczęściem, snać że sam widok ukochanej i kilka przez nią wymówionych wyrazów zadawalniały go w zupełności.

Człowiek jakiego teraz widziała przed sobą, nie był to już ten zgorzkniały szyderca, którego udana wesołość raziła ją przy pierwszem spotkaniu tak boleśnie.

Jakże potężny wpływ musiała mieć nad nim Katarzyna!

— Jeśli chcesz abym ci uwierzyła — zaczęła pani Levallier —musisz się przede mną wyspowiadać. Domyślam się, że po powrocie spotkała cię jakaś przykrość.

Przez chwilę zdawało się Lucyanowi, że nie zdoła zapanować nad sobą, ogarnęła go szalona chęć wyznania prawdy. Katarzyna stała tak blizko niego, że czuł woń jej warkoczy i zapach wytwornych perfum, to odurzało go jeszcze bardziej.

Lecz w spojrzeniu młodej kobiety była taka szczerość, ufność i współczucie, że Lucyan zawstydził się swej słabości.

Nie, on nie powinien ani jednem słowem zakłócić spokoju jej serca i sumienia.

Całując zatem uwięzione rączki, rzekł:

— Nie mówmy o tem; to błahostka niewarta uwagi. Jakaś pani dobra, że przyszłaś!

— Zapewnie mówisz w liczbie mnogiej—przerwała młoda kobieta, ruchem ręki wskazując na stojącą po za sobą Genowefę, której lica lekko pobladły.

— Powiem ci otwarcie, Lucyanie — ciągnęła dalej — że nietyle dobroć ile ciekawość pociągnęła nas tutaj. Nie mogłyśmy oprzeć się pokusie zwiedzenia twojej pracowni, o której cuda rozpowiadają w całym Paryżu, my więc tylko jedne nie mogłybyśmy się mieszać do rozmowy w tym przedmiocie. A że w godzinach przyjęcia masz pewnie mnóstwo kolegów, wolałyśmy przełamać rozkaz i przybyć gdy nie ma nikogo. Czy gniewasz się o to bardzo?

— Ależ bynajmniej.

— Pokaż więc nam swoje cuda.

Lucyan zaczął im pokazywać zabytki sztuki, opowiadając o każdym jakąś anegdotkę lub legendę.

Spełniając rolę uprzejmego gospodarza, malarz rozpamiętywał o minionem niepowrotnie szczęściu. W tej chwili jednak stało się z nim coś dziwnego; żal ustąpił miejsca uspokojeniu.

Katarzyna jedno krytykowała, drugie chwaliła, nad innem się unosiła. Zachwycało ją to, że Lucyan był najczęściej tego samego zdania co ona. Spotkała więc nareszcie umysł bratni, te same dążności i pragnienia.

Uszczęśliwiona tą harmonią dusz, idąc za popędem wrodzonej szczerości, Katarzyna nie taiła się ze swem zdaniem ani uczuciami.

W jej sercu nie było nic takiego z czem by się kryć przed Lucyanem potrzebowała; była szczerą nie przez dumę ani zalotność, ale jedynie dlatego, że znalazła kogoś co ją zrozumiał.

Lucyan wyrzucał sobie, że mógł wątpić o przyszłości; wprawdzie zupełne szczęście nie mogło stać się jego udziałem; część jednak pozostanie mu na zawsze a tą była przyjaźń ukochanej, wspólność gustów i pracy, która dozwoli mu widywać się z Katarzyną i uwielbiać ją czystą, idealną miłością.

Ona pozostanie zawsze jego natchnieniem, jego bóstwem, a myśl ta wpłynęła kojąco na jego rozdrażniony umysł.

Tymczasem Katarzyna z każdą chwilą stawała się pieszczotliwszą.

— Mam do pana prośbę — zaczęła nieśmiało— nie wiem jednak czy będzie wysłuchaną przez tak wielkiego artystę.

— Czy to pięknie tak sobie ze mnie żartować? Gdzie ta moja wielkość o której pani wspominasz? Mogę więc zapytać co takiego?

— Oto, potrzebuję rad twoich, drogi przyjacielu. Idzie tu o niespodziankę jaką chcę sprawić mojemu małżonkowi.

— Cóż to za niespodzianka?

— Zachmurzyłeś się, mój przyjacielu, sądzisz że mam mieszczańskie gusta i upodobania. Jak w tym razie muszę przyznać, że tak jest, niestety. Robię niespodzianki panu Levalier, tak jak niegdyś mama robiła ojcu; pamiętam to dobrze. Otóż teraz liczę na twoją pomoc.

— O cóż więc idzie mianowicie?

— O portret Genowefy, mojej siostrzyczki, która może służyć za śliczny typ melancholii.

— Podziwiaj pan — dodała zwracając nieco główkę dziewczęcia ku malarzowi.—Lecz powierzchowność jest jeszcze niczem w porównaniu z jej przymiotami. To skarb ta moja siostrzyczka; dobra, szlachetna, poświęcająca się.

— Kasiu! — szepnęło dziewczę.

— I do tego taka skromna — ciągnęła dalej pani Levallier.— Ma tylko jedną wadę: jest smutna, prawda że biedaczka nie znała pieszczot matki, która ją odumarła maleńką i okryła żałobą jej młodość. Maksym czynił co mógł aby jej zastąpić matkę, lecz mężczyźni nie posiadają takiego zasobu czułości i dlatego to moja siostrzyczka widzi wszystko w czarnych kolorach. Zawsze ma jakieś urojone zmartwienia.

Katarzyna mówiła to wszystko szybko, nie zastanawiając się; w istocie zmieszało ją milczenie Lucyana, który od kilku chwil wpatrywał się w nią z nietajonem uwielbieniem, i zakłopotana minka Genowefy. Mówiąc bawiła się machinalnie perską szkatułką, wyrobioną z mosiądzu i ozdobioną czarnemi figurkami.

Bez myśli także otworzyła wieko.

Wewnątrz na bladym atłasie leżało ozdobne album.

— Czy wolno zobaczyć? — spytała.

Nagłe wzruszenie odbiło się na twarzy malarza, a słowa uwięzły mu w gardle.

Nie otrzymując odpowiedzi, Katarzyna wyjęła album.

— Nie, nie, niech pani nie otwiera — odezwał się Lucyan.

— Dlaczego?

— To są najgorsze moje rysunki.

— Pod słowem?

— Niech pani lepiej to obejrzy. To są szkice pozbierane w Indyach, jestem pewien, że one panią więcej zajmą od tamtych.

— Czy w istocie te rysunki są tak złe? — nalegała Katarzyna. — No to obejrzyjmy Indye.

I pochyliła się nad szkicami, które jej pokazywał Lucyan niepuszczając jednakowoż albumu z ręki.

— Ah! jaki to oryginalny widoczek — zawołała — jaka zeń wieje świeżość i poezya... nie ma w nim nic pospolitego!....

— Czy to malowane z natury? — wtrąciła Genowefa.

— Tak, pani — odparł Lucyan i wytłomaczył młodej dziewczynie jakąś indyjską, religijną scenę, na którą Genowefa spoglądała z rozrzewnieniem.

Tymczasem pani Levallier, ciekawa jak każda nieodrodna córa Ewy, korzystając z tego, że malarz zajęty był Genowefą, otworzyła szybko album chcąc zobaczyć owe złe rysunki. Wtem radosny okrzyk zdziwienia wyrwał się z jej ust a twarz promieniała szczęściem.

— Wszak to wspomnienia z naszych lat dziecinnych! — zawołała. — I nie chciałeś pokazać mi tego!... Poznaję siebie, to ja jestem tą małą dziewczynką.

I tak gawędząc wesoło, dalej przerzucała kartki. Nagle zamilkła, ogarnął ją dziwny niepokój.

Lucyan nie przez próżność chciał ukryć przed nią album; talent jego i tu niezaprzeczonym jaśniał blaskiem. Jakaż więc tajemnica spłynęła z duszy na ten papier? Katarzyna drżała przekładając welinowe karty.

Chciała zamknąć album lecz powstrzymał ją jakiś nieprzeparty urok. Cała przeszłość stanęła jej przed oczami i to w świetle w jakiem jej dotąd nigdy nie widziała.

W utworach Lucyana spotykała odblask własnych myśli i dążeń odmalowanych lepiej niżby je sama odczuć potrafiła. Ogarnęło ją słodkie wzruszenie, Lucyan nie zapomniał najdrobniejszego szczegółu. Pierwsze przyjemności, miejsca gdzie się bawili w czasie wakacyi, pola po których razem biegali, wszystko jakby za dotknięciem czarodziejskiej laseczki wychylało się ku niej z tych kartek.

Dalej ten dziwny dziennik w którym słowa zastępowały barwy, streszczał całe życie artysty od chwili jego wyjazdu. Przez te cztery lata spędzone zdala, wspomnienie towarzyszki lat dziecinnych nie odstępowało Lucyana ani na chwilę.

Twarzyczka jej czy to w postaci anioła, wieszczki lub bogini, znajdowała się na każdym obrazku. Tu widziałaś ją w pośród starożytnych ruin, tam na jakichś bezgranicznych obszarach spowitą we mgły, to znów wśród scen charakterystycznych wiernie z natury odwzorowanych.

Znać było, że myśl jego nią tylko była wyłącznie zajęta. Ołówek był posłuszny uderzeniom serca, które pieściło myślą ukochaną postać wcielając ją w wymarzone a coraz doskonalsze kształty.

Wsparta na ramieniu bratowej, Genowefa przypatrywała się także a usta jej drżały zlekka.

Zapanowało przykre milczenie. Żadna z obecnych trzech osób nie chciała się zdradzić ze swemi uczuciami. Katarzyna rozumiała aż nadto dobrze tę niemą rozmowę bez słów.

Lucyan z trwogą zapytywał się w duszy, czy zrozumiawszy nie każe mu iść precz i nie pokazywać się jej więcej na oczy. A przecież patrzeć na nią to było jedyne dozwolone mu szczęście.

Na ostatniej stronicy Katarzyna i Genowefa zatrzymały się dłużej. O ile poprzednie rysunki tchnęły życiem, wdziękiem i wesołością, o tyle ten szkic niedokończony wyrażał rzewny smutek i ja-

kąś pełną boleści poezyę. Obie kobiety nie mogły oczu zeń oderwać.

Poniżej rysunku była data dnia w którym zjawił się u pani Maleyra. Zamykała ona album tak jak krzyż przyciska zawartą mogiłę.

Katarzyna i Genowefa spojrzały na siebie głęboko wzruszone.

Wysiłkiem woli pani Levallier zapanowała nad sobą. Zmusiła usta do pogodnego uśmiechu i skinąwszy głową z zadowoleniem rzekła spokojnym głosem:

— Powinieneś dokończyć tej kartki, Lucyanie. Mistrz z ciebie prawdziwy, stworzyłeś arcydzieło.

Borrèze milcząc wziął z jej rąk album i włożył go do szkatułki. Unikał nawet wzroku młodej kobiety. Ona zaś ciągnęła dalej tymże samym tonem chłodnej obojętności:

— A co więcej wierny i nieporównany z ciebie przyjaciel. Jak dobry geniusz zakląłeś wspomnienia młodości; pod twoim ołówkiem nawet bagatelki nabrały nowego uroku.

I z zupełną swobodą zaczęła przerzucać porozkładane na stolikach kartony.

Lucyana drażnił ten pozorny spokój. Widać że ona nie domyślała się niczego; że to co było dla niego najdroższą relikwią, dla niej nie miało żadnej wartości. Słusznie nazwała te wspomnienia bagatelkami.

— Serce jej lodowa snać kryje powłoka — powiedział sobie w duszy i wolałby był już w tej chwili ujrzeć to czego się najbardziej obawiał: zdziwienie, gniew, obrazę; wolałby był aby go wypędziła, to dowiodłoby przynajmniej wzruszenia, uczucia jakiegoś.

Ale, nie, nie spotkał go podobny zaszczyt, za jego gorące uczucie odpłacono mu chłodem i obojętnością... O! w istocie, mógł bezkarnie uwielbiać tę kobietę, nic bowiem nie zdoła wzruszyć jej spokoju.

W obec niej nie był bynajmniej człowiekiem, tylko jakąś maszyną, której pracę podziwiać należy lub zabawką służącą jej od dzieciństwa do igraszki. W jego duszy jak w zwierciadle odbijała się jej postać i wszystkie wrażenia jej serca.

W tej chwili lokaj oznajmił pana Levallier. Maksym umówił się z żoną i siostrą, że wstąpi po nie do pracowni malarza.

Wszedłszy tłomaczył swoje spóźnienie nawałem interesów.

— Ależ my nie czynimy ci wyrzutów — rzekła Katarzyna. — Lucyan tylko może mieć do ciebie żal, że mu tak dużo zajęłyśmy czasu.

I wyciągając dłoń do Lucyana dodała:

— Do widzenia, mój przyjacielu.

— Panie — odezwał się Maksym — jeżeli się pan nie lękasz towarzystwa profanów, mówię to naturalnie o sobie, z przyjemnością będziemy pana widzieć u siebie. Odwiedziny pańskie zrobią wielką przyjemność mojej żonie.

Lucyan odprowadził swoich gości aż do drzwi.

Pani Levallier oddaliła się wsparta na ramieniu męża i przytulona do niego pieszczotliwie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIEŚCI Z NOWEJ PODRÓŻY

DO AFRYKI.

Zamiłowanie podróży pomiędzy dziczą dalekich i nieznanych krajów, gdzie na każdem miejscu z groźnem spotyka się niebezpieczeństwem, dziwnem się niejednemu wydaje. Nigdy ich jednak nie brakuje a nawet i u nas zjawili się tacy jak Sygurd Wiśniowski, Rogoziński i Janikowski, którzy zapisali się na liście wędrowców naukowych.

Obecnie Czech doktor Emil Holub, znany podróżnik afrykański, powrócił przed kilkoma dniami ze swej ostatniej wyprawy do wnętrza afrykańskiego kontynentu, dokąd się wraz z żoną młodą, w towarzystwie sześciu europejskich rękodzielników, udał przed czterema laty na nowe zdobycze naukowe.

O ile dotąd z opowiadań jego do wiadomości publicznej doszło, dotarł on na 316 mil angielskich na północ od Kapstadt, stolicy Przylądku Dobrej Nadziei, przerzynając ciągle nieznane przestrzenie kraju, przez osady ludzi i plemion, co nigdy dotąd jeszcze nie widziały u siebie białego człowieka, a tem mniej białej kobiety.

Przed kobietą też, żoną doktora Holuba, dzikie te i krwiożercze szczepy okazywały z niepojętych przyczyn, jakąś dziwną bojaźń i cześć nadzwyczajną i jej tylko doktor Holub zawdzięcza, że w wielu przypadkach nieporozumienia wynikłe z posuwania się wyprawy w głąb krajów zamieszkiwanych przez wojownicze plemiona, zostało załagodzone bez rozlewu krwi i ofiar.

Wszyscy naczelnicy plemion ustępowali z zagadkową u tych ludzi powolnością pani Holubowej, która też wyzyskiwała tę uprzejmość dzikich, ile tylko mogła.

W osadzie jednego plemienia, które straciło na krótko przed przybyciem wyprawy swego wodza, chciano panią Holubową przemocą uprowadzić, aby ją ogłosić swoją królową. Dopiero użycie broni ochroniło ją od tego zaszczytu.

Drugą okolicznością, która wpłynęła na pomyślny wynik wyprawy, było to, że doktor Holub, jako lekarz, zajmował się wszędzie leczeniem chorych dzikich, których wszędzie było podostatkiem a którym krajowi czarownicy wraz z całym arsenałem swych rodzinnych czarodziejskich środków nie mogli przynieść ulgi i pomocy; uchodził więc doktor Holub pomiędzy tymi ludźmi za nadzwyczajnego czarodzieja, którego się bano jako człowieka o nadziemskich piekielnych mocach.

Doktor Holub nie dotarł jednak mimo to wszystko dotąd, dokąd dotrzeć zamierzał.

Przyczyna była dwojaka. Po pierwsze, jest doktor Holub stanowczo przeciwnym wszelkiemu używaniu broni palnej przeciwko dzikim, co w wyprawach do wnętrza Afryki jest prawie nieuniknionem; po drugie, krainy przerżnięte przez doktora Holuba są we względzie terytoryalnym bez żadnej łączności.

Tak, przyszedłszy w swej pierwszej wyprawie nad Zambezi, zastał tam potężnego króla Sepopo, który mu wszelkiej udzielił pomocy w podróży przez rozległe swoje obszary.

Od owego czasu jednak zmieniły się stosunki tak, że z dawnego państwa Sepopa śladu nie pozostało. Sepopo sam nie żył, część jego kraju podpadła pod panowanie króla Luanika, a główne obszary państwa zostały rozszarpane przez sąsiednie plemiona.

Następstwem takiego rozdrobnienia terytoryalnego jest to, że codzień prawie trzeba się starać o innych przewodników i ludzi do noszenia pakunków, gdyż żaden dziki z jednego plemienia nie poważy się przekroczyć granicy swojej i wejść na cudze terytoryum.

Przeważnie więc każdy najęty do pomocy dziki, przebywa z wyprawą jedną tylko dobę i skoro tylko otrzyma dzienną swą zapłatę, umyka, nawet znać nie dając, że odchodzi.

Kwestya przewodników i przewoźników jest więc kwestyą codzień się powtarzającą, a o bezpieczeństwie wyprawy nie może być także ani mowy, gdyż żadnemu z najętych krajowców broni powierzyć nie można. Niedość że sam ucieka, ale i broń zabiera ze sobą.

Wyprawa doktora Holuba zatrzymała się pierwszy raz u wodospadów Wiktoryi na rzece Zambezi i pozostała tam, skutkiem panującej pomiędzy członkami wyprawy zimnicy, przez ośm miesięcy; czas ten przepędzano na zbieraniu wszelkich okazów: zoologicznych, botanicznych, mineralogicznych, etnograficznych i robieniu badań astronomicznych, meteorologicznych i geologicznych.

Po przeprowadzeniu się na drugi brzeg rzeki Zambezi, przerznęła wyprawa doktora Holuba krainy Sakosipa, Szende, Sietsetema, Moeba, Mapanga, M'Beza, Kabuzamanda i dotarła do wielkiej rzeki Luenge.

Stanąwszy obozem w Galulaga, robił doktor Holub wycieczki na północ o kilkanaście kilometrów, ale gdy z jednej takiej wyprawy powrócił, zastał obóz cały splądrowany, ludzi swoich rozpędzonych a zbiory i manuskrypta zrabowane. 14 tomów manuskryptów i część zbiorów udało się wprawdzie za drogą cenę odkupić, ale większa część zbiorów i 18 tomów rękopisów zaginęło bez śladu.

W Sierpniu 1866 roku postanowił doktor Holub wracać. Była to podróż nadzwyczaj uciążliwa. Wszyscy byli dręczeni ciągłemi napadami zimnicy, bez środków pożywienia, w ciągłem niebezpieczeństwie życia, przez głębokie bagna pełne jadowitych płazów i plugawych owadów przeprawiano się przez kraj złego plemienia Maszukulumbe do Transvaalu, a mianowicie do stacyi misyjnej Lenokana. Tu spędzono trzy miesiące celem nabrania sił i leczenia ran odniesionych przy przeprawie przez bagna, poczem wozami ciągnionemi przez woły wrócono drugą drogą do Kimberley.

Do Europy nie wrócili wszyscy członkowie wyprawy; dwóch zmarło na zimnicę, jeden stracił życie w walce z dzikimi.

Zbiory, jakie doktor Holub przywiózł ze sobą, mieszczą się w 154 skrzyniach. Jest to więc okazała ilość, jeżeli się zważy, że znaczną część zbiorów złupili mu dzicy w Galulaga. Uporządkowanie tych zbiorów i sklasyfikowanie okazów zajmie dwa lata czasu, poczem zamierza doktor Holub urządzić wystawę ich w Wiedniu i innych miastach Europy w 1889 roku.

Opis całej wyprawy ma wyjść w roku przyszłym w trzech tomach.

DZIECI PANA RADZCY.

(OBRAZEK Z ŻYCIA MIEJSKIEGO)

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

(Dokończenie.)

IX.

Upłynęło lat trzy.

W mieszkanku przy ulicy Ogrodowej nie ma już naszych dobrych znajomych, nie ma ich też i w Warszawie.

Wyprowadzili się na prowincyą.

Za fundusze otrzymane ze spadku, nabyli w jednem z większych miast gubernialnych posesyę obszerną, z dużym ogrodem, położoną blizko rogatek, nad rzeką.

Pani radzczyni ma wygodne mieszkanko, umeblowane według jej gustu i upodobania. Zdrowie staruszki poprawiło się znacznie, poprawił się również i humor. Porobiła nowe znajomości, pozawiązywała stosunki i nie było dnia żeby jej ktoś nie odwiedził.

Na gawędce przy doskonałej kawie, którą namiętnie lubiła, czas jej przechodził wesoło. Szanowano ją, lubiano, miała udział w dobroczynności publicznej, była opiekunką ochrony dla dziewcząt i to jej także sporo czasu zabierało.

Powodu do zmartwień nie miała żadnych. Dzieci mieszkały z nią razem i jakie to były dzieci.

Czesław zmężniał, wypiękniał, ładny wąsik ozdabiał jego twarz, rozumne oczy patrzyły śmiało a poważnie.

Ukończywszy uniwersytet, poszedł na praktykę ogrodniczą, a teraz na własnym kawałku ziemi pracuje. Stary ogród doprowadza do wzorowego porządku, ciągle go udoskonala i ulepsza.

Skoro świt tylko, już jest przy robocie i do późnego wieczoru pracy nie przerywa.

Dochody ma ładne i kawałek chleba na całe życie pewny.

Matka namawia go żeby się żenił, żeby już własną założył rodzinę, ale on się nie spieszy.

Czyż mu źle tutaj u siebie.

Stasia kwitnie zdrowiem. Zawsze jest uśmiechnięta, wesoła, a czas jej zbiega szybko przy nieustannem zajęciu.

W dwóch pokojach na dole ma warsztat, przy którym kilku ludzi pracuje, a w środku miasta na pryncypalnej ulicy sklep elegancki.

W warsztacie robota nieustaje, a w sklepie ruch ciągły.

Stasia oto poprostu szewcem jest, obuwie damskie wyrabia. Wyuczyła się tego w Warszawie i obecnie sama zakład prowadzi.

To jest jedynem zmartwieniem radzczyni, że nad sklepem wisi wielka deska z napisem: Stanisława Lubicz, ale i z tem nieszczęściem trzeba się było pogodzić.

Czasem, gdy się kilka znajomych pań zejdzie i gdy zaczną o czasach dzisiejszych rozprawiać i nad zmianami różnemi ubolewać, pani radzczyni kiwa smutnie głową i mówi wzdychając:

— Mąż mój nieboszczyk był radzcą stanu... a córka...

Stasia śmieje się w takich razach i zapewnia matkę, że jest także radzczynią i rzeczywistą nawet, gdyż rzeczywiście radzi sobie jakoś na świecie.

Pan Kazimierz już jej nie prześladuje prośbami o przebaczenie i afektów swoich nie oświadcza, bo znalazł inną, która go uszczęśliwiła sercem i pożądaną ilością gotówki.

Jest jesień, piękna złota jesień, pogodna i ciepła.

W ogrodzie drzewa się gną od owoców, ciężkie grona winne wychylają się z pod liści malowniczo z sobą splątanych.

W kółku naszych znajomych jest gwarno i wesoło.

Państwo inżynierowie z dziećmi przyjechali po kilku latach rozłączenia, aby strony rodzinne zobaczyć.

Radzczyni wnukami nacieszyć się nie może. Szczęśliwsze one, wesołe jak ptaszęta, wszystko je bawi i zajmuje. Babcia obdarza je pieszczotami i zabawkami.

Pani Janina, zmizerniała i pobladła. Ciągle jest wzruszona i zapłakana. Pobyt w odległych stronach, a raczej tęsknota za swojemi podkopała jej zdrowie.

Teraz czuje się jakby ją nagle w inny świat przeniesiono, otwiera okno żeby usłyszyć rozmowę przechodniów, pochwycić nutę jakiej piosenki i śmieje się jak dziecko, do drzew, do kwiatów, do wody co się w rzece srebrem przelewa.

Tak ją wszystko przejmuje, że co chwila płacze.

Pan inżynier ma ją zawieźć do Warszawy albo do Wiednia, żeby się jakiego znakomitego neuropaty zaradzić. Stasia twierdzi, że najlepiejby było dla siostry w rodzinnych stronach zamieszkać, ale to niemożebne, ponieważ pan Adolf jeszcze miliona nie zrobił.

On sam, przez te kilka lat odmienił się także. Urosła mu ogromna broda, którą z dumą rozkłada na szerokich piersiach, utył na potęgę, akcent mowy zmienił i jeszcze jest okazalszy, jeszcze poważniejszy niż przedtem.

Miliona jeszcze nie ma, lecz głowę już tak nosi, jakby go oddawna posiadał.

Proszony przez żonę, aby się do matki i rodzeństwa w odwiedziny wybrał, zgodził się na to, ze względu na zdrowie pani Janiny, która coraz bardziej szczupłą i mizerną się stawała.

Ustąpił więc jej prośbom może nietyle z przywiązania i miłości dla niej, ile z obawy, że może stracić kobietę nad którą pokorniejszej, potulniejszej i bardziej wszelkim jego grymasom dogadzającej nie znalazłby na świecie.

Pojechali więc.

Przybywszy na miejsce, powitał matkę żony i rodzeństwo z powagą i z pewnym protekcyonalnym uśmiechem, jakby nigdy nic pomiędzy nimi nie zaszło, a że pomieszczono go wygodnie, a obiady miał doskonałe, więc nawet dobry humor i zadowolenie okazywał.

Pewnego dnia, przy święcie, gdy już czas pobytu państwa Adolfów u rodzeństwa do końca dobiegał, podano obiad w ogrodzie w altanie, obwieszonej splotami dzikiego wina.

Czesław jako gospodarz był dla gości uprzedzający i uprzejmy, Stasia ożywiała towarzystwo niezrównanym humorem, na twarzy radzczyni promieniał uśmiech szczęścia.

Nawet pani Janina, choć ją myśl blizkiego już odjazdu przerażała, zapomniała na chwilę o swej trosce i w tem gronie rodzinnem szczęśliwą się czuła.

Po obiedzie Czesław przyniósł koszyk wybornych owoców i butelkę starego wina.

Pan inżynier był bardzo zadowolony. Doskonały obiad i wino usposobiły go nawet do wynurzenia czułości.

— Słuchaj, panie Czesławie — rzekł — bywało to pomiędzy nami rozmaicie.

— Jakto?

— A no, przyznaj, że nigdy do mnie nie miałeś sympatyi.

— Ależ co znowu.

— Nie zaprzeczaj. Ani ty ani Stasia.

— Ah, już co do mnie...

— Tak jest, nie lubiliście mnie, a jednak ja chciałem zawsze waszego dobra. Jeżeli nie wierzycie to spytajcie Janinki, ile razy zajmowała mnie myśl o was i o waszym losie. No, czyż nie tak moja żono?

— Tak, w samej rzeczy — rzekła pani Janina — Adolf was bardzo kocha, a chociaż niekiedy bywa przykry...

— Że też przez tyle lat pożycia naszego nie nauczyłaś się jeszcze rozróżniać, co to jest być dla kogo przykrym, a co zachowywać odpowiednią do stanowiska swego i godności powagę. Ja nie tylko dla twego rodzeństwa, ale nawet dla moich podwładnych, dla ludzi zależnych ode mnie nigdy przykry nie jestem, zachowuję się tylko tak jak tego moja godność i stanowisko wymaga. Cóż chcesz? Przecież nie mogę wdawać się z nimi w żarciki i dowcipki.

— Słusznie, słusznie — odezwał się Czesław z lekkim odcieniem ironii. — Powaga przedewszystkiem.

— Tak, powaga i obowiązek. Gdy wszyscy pełnią obowiązki swoje, a raczej gdyby wszyscy swoje obowiązki pełnili, byłby na świecie idealny ład i porządek.

— Bagatela! gdyby wszyscy...

— To jest właśnie mój ideał ustroju społecznego. Jedna część ludzkości, ma się rozumieć znacznie mniejsza, powinna zarządzać i wydawać zlecenia, druga w znakomitej większości, stać wyprostowana jak drut, słuchać i ślepo wykonywać to co się jej każe. To jest moje marzenie.

— A gdyby cię los postawił wśród większości?— zapytała Stasia — czy miałbyś te same przekonania?

— Rzecz naturalna że tak, tylko przez sumienne, ślepe wykonywanie zleceń danych mi przez zwierzchników, starałbym się wydobyć z większości, która słucha i dostać się do szeregów mniejszości, która rozkazuje, ale odeszliśmy od przedmiotu. Wszcząłem tę rozmowę dlatego aby przekonać was, że zawsze o was myślałem.

— Któż o tem kiedy wątpił! — zawołała radzczyni.

— Byli tacy. Czesław naprzykład...

— O mój panie Adolfie, dajżeż pokój. Jesteś mężem naszej siostry, jesteś naszym gościem, pragnęlibyśmy przyjąć cię jak najserdeczniej, a ty wszczynasz kwestye, o których lepiej byłoby nie mówić.

— Ale...

— Ale pozwól. Podoba ci się to wino?

— Doskonałe! Od wielu lat nie miałem w ustach takiego nektaru.

— A więc jeszcze jeden kieliszek!

— Zgoda! Pić dobre wino to jest także do pewnego stopnia obowiązek, ale widzisz Czesławku kochany...

— Co?

— No, ja wam zawsze mówiłem, to jest tobie i Stasi, że praca jest podstawą bytu człowieka. Czy tak?

— Zdaje się.

— Zawsze wam mówiłem, że nienależy się oglądać na cudzą pomoc.

— Więc.

— A no, nie mam pretensyi do wdzięczności, ale musicie przyznać że dzisiejszy dobrobyt i stanowisko zawdzięczacie moim życzliwym radom. Zawsze byłem zwolennikiem pracy ręcznej połączonej z wykształceniem pracownika i jestem dziś szczęśliwy, widząc że moje nauki, moje wskazówki, moje rady wydały tak błogie owoce!

KONIEC.

TEATR.

Męczennica, dramat w pięciu aktach, ułożony przez pp. Ennery i Turbe.

Znajdują się ludzie, dla których wrażenia wstrząsające całym ich ustrojem aż do łez i tłumienia oddechu, są rozkoszą chciwie pożądaną.

Wypłaczą się, nastękają, zużyją parę chustek i uspokoiwszy się w chwili niewiele, uśmiechają się na nowo swobodnie oddychając. Dla takich to widzów teatrem zajmujących się, melodramaty są przysmaczkiem wielce upragnionym i dla nich to sądzących wartość sztuki po liczbie i sile wrażeń w niej odbieranych, a nie według jej istotnej wartości, *Męczennica* nazwana dramatem, napisaną została.

Jest też zlepkiem scen dość wrażliwych i efektownych, najzupełniej mijających się z prawdą, dziejących się w przeciągu czasu bardzo długiego w warunkach najnieprawdopodobniejszych i tym sposobem przemieniających całą treść w zwykłą bajdę, jaką niegdyś dzieciom opowiadały niańki.

Główną postacią sztuki, ową prawdziwą *Męczennicą* poświęcenia, jest hrabina de Moray, ukochana przez męża, szanowana powszechnie i zacna matka, poświęcona całą duszą dla córki jedynaczki, bawiącej w Pondichery.

Państwo Moray zmuszeni tam ją zostawić w podróży z Ameryki do Europy, zaznajamiają się na okręcie z niejakim Palmierim i siostrą jego księżną de Lucca, ludźmi niezmiernie bogatymi. Palmieri jest salonowcem prześlicznie ułożonym a księżna piękną ale pychą przeładowana. Hrabia Moray na czas pobytu w Paryżu, państwu temu ofiarował mieszkanie w swoim pałacu. Jest to człowiek ze szlachetnem poczuciem swej godności, ale brak mu silnej woli i zimnej krwi w rozwadze.

Księżna podoba mu się, Palmieri spostrzega to, księżna postanawia wyjechać z Paryża.

— Dlaczego —' zapytuje Palmieri siostry — powzięłaś tak dziwne postanowienie?

— Bo miłostek bezcelowych nie lubię.

— Uspokój się i zaufaj mi a zrobię cię hrabiną de Moray.

Księżna zna dobrze widać swego brata bo pozostaje, a Palmieri postanawia najprzód poróżnić hrabiego z żoną a następnie zmusić do rozwodu i ożenić go natychmiast z siostrą.

Do wykonania tego piekielnego pomysłu, na nieszczęście nie brak mu materyału. Otóż widział w kościele panią Moray, rozmawiającą z jakimś nieznajomym mężczyzną młodym i przystojnym, od którego upominała się o swoje listy, za co ofiarowała dać mu sto tysięcy franków. Opowiadając to hrabiemu, skarżący wymienia miejsce, w którem żona jego zastawiła klejnoty, o czem przekonawszy się, pan Moray już nie wątpi, że małżonka zwodziła go najokropniej, ma kochanka.

Tymczasem ów młodzieniec na umówionej schadzce, gdzie miał mieć sobie wypłaconą umówioną kwotę, niemogąc się pani Moray doczekać, idzie do jej mieszkania.

Jednocześnie wchodzi hrabia Moray, żąda od młodzieńca zwrotu listów, ten odmawia, hrabia grozi wystrzałem z rewolweru, młodzieniec rzuca pakiet w ogień płonący na kominku, listy palą się ale jednocześnie i młodzieniec zowiący się Robert Burel umiera przeszyty kulą, a hrabia w rozpaczliwem uniesieniu wypędza żonę z domu.

W trzecim akcie księżna Lucca już jest żoną pana Moraya, w którego sercu pamięć dawnej miłości dla niewiernej żony niewygasła. Tymczasem z Pondichery przyjeżdża Paulina, córka państwa Moray, i spotyka się z macochą zamiast matką ukochaną. Dowiedziawszy się o wszystkiem nie wierzy aby rodzicielka jej tak zacna i szlachetna, tak kochająca ją i ojca była winną. Paulina więc idzie zobaczyć się z matką przebywającą w domu swych rodziców państwa de la Marche. Ojciec jej stary admirał la Marche, wierzy najzupełniej w jej winę i potępia ją. Biednej kobiety położenie okropne, przypadkiem nadchodzi były mąż jej, w rozmowie wyrzuca zdradę doświadczoną, zapewnia że kochać jej dotąd nie przestał, że w nowym związku szukał tylko zapomnienia utraconego z nią szczęścia, którego wspomnienie jedyną już dla niego jest pociechą acz pełną boleści.

W akcie dopiero piątym, następuje rozwikłanie nieprawdopodobnych powikłań. Biedna pani Moray jest tylko *Męczennicą*, najniewinniej prześladowaną. Ów młodzieniec Robert Burel, w przystępie zazdrości zabity przez hrabiego, nie był kochankiem jego żony, ale bratem przyrodnim bo synem naturalnym jej matki pani la Marche i dlatego nieszczęśliwa wypędzona małżonka, nie chcąc zhańbić własnej matki, zamknęła usta tajemnicą i pozór winy na siebie przyjęła. Ale to końca jeszcze nie stanowi.

Palmieri pragnący przez związek z hrabią de Moray wejść do salonów arystokracyi, wikła go w interesa i naraża na bardzo dotkliwe straty zupełną ruiną grożące. Przyrzeka jednak ratunek pod warunkiem, że otrzyma rękę... niewinnej Paulinki, która w Pondichery pokochała i wzajemnie pokochaną została. Dziewica ratując ojca z rozpaczą w sercu przyrzeka swą rękę Palmieremu, ale zaraz po ślubie postanawia umrzeć, z czem wyznaje się własnej matce... *Męczennicy.*

W obec takiego postanowienia pani Moray milczeć nie może, tajemnicę wyjawia matce swej pani la Marche, która w szlachetnem uniesieniu przyznaje się do wszystkiego.

Męczennica zatem jest niewinną ofiarą dobrowolnie poświęcającą się dla ochrony czci matki, musi więc być wynagrodzoną za przebyte cierpienia.

W życiu zwyczajnem niełatwo o taką nagrodę, ale w melodramacie wszystko można spełnić bez zbytniego wysiłku. Autorowie dokonali tego przez wprowadzenie do sztuki niejakiego pana Drack, byłego konsula angielskiego, starego kawalera.

Paulina poznała go w powrocie do Europy. Jest to samolub ale czasami skłonny do poświęcenia, niby lekceważący sprawy ludzkie a jednak dość skrzętnie zajmujący się niemi. Otóż taki pół dziwak zajął się szczególnie Pauliną, pogodził matkę jej z rodzicami, hrabiemu ciągle dowodził, że jest ofiarą nikczemnej intrygi i wreszcie cudownie wynalazł między papierami dowód najzupełniej wiarogodny, że Palmieri i księżna Lucca są parą prostych oszustów z więzieniem dobrze obeznanych. Opuszczają więc Paryż bez żadnych zastrzeżeń, państwo Moray łączą się na nowo i sztuka kończy się z zupełnem zadowoleniem widzów, szczęśliwych, że po wypłakaniu się ujrzeli tryumf cnoty i połączenie dwóch serc złością ludzką rozdzielonych.

Gra artystów wszystkich była koncertową. Panna Noiret w roli Męczennicy hrabiny Moray, była pełną naturalności, poruszała widzów prawdą uczucia z poddaniem się nieszczęściu na nią spadłemu. Pani Rakiewiczowa wybornie się wywiązywała w roli, wymagającej i powagi i panowania nad samą sobą. Panna Wisnowska w roli Pauliny, grą pełną czucia i prawdy, skarbiła sobie serca słuchaczy. Pan Leszczyński wybornie harmonizował z charakterem melodramatu. Pan Grzywiński w roli starego admirała także się odznaczył korzystnie, to samo pani Lüdowa i panowie Tatarkiewicz i Szymanowski.

G.

WIADOMOŚCI
z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Uczeni w Londynie zajmują się obecnie drobną niezmiernie kwestyjką... zagaśnięcia Słońca w przebiegu czasu na szczęście! bardzo od nas oddalonego. Zakrawa to cokolwiek na dziwactwo naukowe, na coś takiego co to nie jest niby niczem, a jednak jest czemś trudnem do określenia.

Wprawdzie zgaśnięcie Słońca byłoby cokolwiek kłopotliwe, gdyby zaszło niespodzianie, ale termin spełnienia tej katastrofy jest tak odległy, że z największą spokojnością można robić przygotowania na zbliżający się karnawał, jeżeli pragniemy przepędzić go choćby niebardzo hucznie, ani buńdziucznie.

Ma to bowiem nastąpić za pięć, sześć a nawet za dziesięć milionów lat!

Bujna to niezmiernie wyobraźnia chociaż w liczby i rachunek od stóp do głowy ustrojona. Nieznając natury Słońca, niewiedząc jakim sposobem grzeje i przyświeca, rzucać milionami lat jak gałkami z chleba w rachunku jego spodziewanego żywota, to trochę za śmiało, za wielkie marnotrawstwo wysiłku i pracy na co szkoda i czasu i atłasu.

Brnijmy więc dalej w haosie ziemskiego bytu, w którem proch uznano już za słaby do wojennych celów i wymyślono armatę dynamitową z którą próby dokonane w Ameryce, wydały nadzwyczaj

świetne wypadki. Okręt bowiem trafiony pociskiem tej nowej machiny, został wyrzucony w górę wysoko jak najwyższy szczyt Kordylierów i spadłszy znikł w okamgnieniu jak kamień rzucony w otchłań morską.

Jakże świat się widocznie cywilizuje. Takiego naukowego dobrodziejstwa starożytni nie znali i nawet nie domyślali się, że go mieć można.

W domowem naszem życiu mamy kilka spraw godnych zanotowania. Przedewszystkiem zawiązano wreszcie po długiem marudztwie i odwlekaniu:

Spółkę owocarską. Przygotowany akt notaryalny podpisano w obecności rejenta pana Jałowieckiego, poczem przystąpiono do wyboru zarządu i komisyi rewizyjnej.

Na członków zarządu, w myśl ustawy, powołano 5 osób, a mianowicie: pp. Edmunda Jankowskiego, Franciszka Szaniora, Leonarda Iwanowskiego, Kazimierza Iwańskiego i Wacława Łuszczewskiego.

Do rady nadzorczej powołano pp. Władysława Przyłubskiego, d-ra Tadeusza Kowalskiego i Kazimierza Sulikowskiego.

Spółka rozpocznie swoją działalność od dnia 1 Kwietnia przyszłego roku i wówczas to zostanie najęty stosowny lokal do sprzedaży owoców w Warszawie i wprowadzonem zostanie w ruch całe przedsiębierstwo.

Zebranie poczyniło nadto w ustawie spółki, opracowanej przez p. Anca, niektóre drobniejsze zmiany i poprawki.

Na wniosek pana Jankowskiego dopełniono również ustawę spółki w ten sposób, że jako zadanie jej postawiono nietylko handel owocami świeżemi, ale i wszelkiemi przetworami owocowemi.

Tak więc w zasadzie spółkę owocarską uważać można już za istniejącą, jakkolwiek działalność jej dopiero za pół roku się rozpocznie.

Niemożna wątpić, iż działalność ta przyniesie wybitne korzyści krajowemu ogrodnictwu i przyczyni się do podniesienia tej ważnej gałęzi gospodarstwa krajowego.

Przed kilku dniami do jednego z tutejszych składów zabawek dziecięcych przyszedł włościanin, żądając sprzedania mu kilku drewnianych wyrobów.

Jak się następnie pokazało, kmiotek ten postanowił kupić sobie zabawki na model, celem wyrabiania podobnych.

Jak powiadał, wyrabia on w wolnych chwilach od pracy rozmaite drobne przedmioty z drzewa i przyrzekł je kupcowi do sklepu dostarczyć.

Kilka okazanych drobiazgów odznaczało się rzeczywiście bardzo zgrabną robotą.

W ogrodach łazienkowskim i belwederskim służba pałacowa zbiera codziennie opadłe z kasztanów owoce, które zakupuje jedna z warszawskich fabryk krochmalu, płacąc po rs. 2 za korzec.

Wskutek tego zabronionem zostało zbieranie kasztanów we wspomnianych ogrodach osobom, nie należącym do służby ogrodowej.

Robotnicy jednej z tutejszych fabryk, zatrudniających znaczną ilość pracujących, wybrali z pomiędzy siebie sąd dobrowolny, złożony z trzech starszych statecznych ludzi.

Jeśli ktokolwiek coś przewini, albo się z drugim pogniewa, zdaje się na ów sąd.

Owi trzej sędziewie, rozważywszy rzecz gruntownie, wydają wyrok wedle swego sumienia.

Dopiero w razie, jeżeli która ze stron nie chce zgodzić się na ten sąd dobrowolny, lub wyrokowi jego się poddać, sprawa oddawaną ma być na drogę sądową.

Wypadku takiego dotychczas jednak nie było, a sąd dobrowolny załatwił już kilka spraw z zupełnem zadowoleniem stron obu, gdyż każdy woli, aby spór zakończyć na miejscu bez kosztów i mitręgi.

Nawet zdarzył się już wypadek, że pod rozpoznanie sądu tego, poddał się jeden z ludzi, wcale do fabryki nienależących.

Niezawodnie rzecz to bardzo godna uznania i naśladowania.

Pierwsza mleczarnia wiejska, założona i utrzymywana przez samych włościan, powstaje obecnie w Lublinie.

Chłopi ze wsi Sokolnik pod Lwowem, na naradzie gminnej postanowili zbiorowemi siłami utworzyć i prowadzić takie przedsiębiorstwo, jako spółkę nabiałową.

Członkowie tego stowarzyszenia dostarczać mają z całej wsi mleko, które codziennie własnym furgonem spółki dostawione będzie do Lwowa, gdzie wynajętym będzie obszerny lokal na skład; jeden z gospodarzy, wybrany z grona członków, rozsyłać będzie nabiał po domach przez utrzymywane w tym celu wiejskie dziewczęta.

Odbiór mleka na miejscu w Sokolnikach odbywać się będzie od każdego dostawcy ze wsi pod okiem osobnego nadzoru.

Przykład godny naśladowania, a inicyatywą zawstydzający wielu niezdecydowanych projektowiczów.

Charakterystyka naszego mazura według słów jednej z gazet nadwołżańskich, brzmi w dosłownem przekładzie jak następuje:

„Mazur jest to harmonijne połączenie siły i powagi mężczyzny z czarującą gracyą kobiety. On unosi się śmiało, jak wicher, ona mu towarzyszy jak zapach róży. On biegnie, ona się posuwa. On po rycersku i z powagą przyklęka, ona zakreśla wokoło niego wdzięczne i nadpowietrzne kręgi. On ogniste bije hołubce, ona końcem swych trzewiczków odbija pizzicato, staccato; smyczki posłuszne są jej ruchom, dźwięki unoszą się i tańcują."

Złodzieje sklepowi w Paryżu. Były naczelnik straży publicznego bezpieczeństwa w Paryżu, pan Macé, w najnowszej swojej pracy p. t. Un joli monde, opisuje szczegółowo świat złodziei w stolicy nad Sekwaną, a zwłaszcza złodziei sklepowych. Wielkie magazyny mód, których jest obecnie do 30, służą za miejsce schadzek większym i mniejszym rzezimieszkom, lecz głównem polem ich działania są miesięczne wystawy w tychże magazynach urządzane.

Według najnowszych wykazów, w ciągu ostatnich lat pięciu codziennie wykonywano do 150 kradzieży w owych 30 większych magazynach, a doświadczenie nauczyło, że tak policyanci jak i prywatni dozorcy, do pilnowania złodziei najęci, nie zdołali czwartej części złodziei i złodziejek złapać. Dla uniknięcia wszelkich pomyłek, każda osoba dopiero przy drugiej kradzieży bywa przytrzymywana; złodzieje sklepowi rzadko kiedy zadawalają się jedną kradzieżą przy tej samej okazyi.

Do sądu pozywani bywają teraz już tylko złodzieje i złodziejki z profesyi; przypadkowe złodziejki sklepowe rzadko kiedy bywają aresztowane. Liczba osób uprawiających kradzież jest tak wielką, że cyfra 100,000 złodziei na departament Sekwany jest za mała.

Moc przyzwyczajenia czasem śmieszne płata figle.

Do jednego z naszych doktorów, podczas przyjmowania w domu chorych, wchodzi ubogi człowiek dość przyzwoicie ubrany i mówi:

— Panie doktorze, wspomóż mnie, mam żonę i czworo dzieci...

— Proszę mi pokazać język!

* * *

Rzecz dzieje się w sądzie. Obwiniony stoi na środku, sędzia kończy pisanie i pyta:

— Czy podsądny ma jeszcze co do powiedzenia?

— Wzywam Boga na świadka, że jestem niewinny.

— Badanie świadków już zamknięte — odpowiada sędzia z pewnem niezadowoleniem i każe badanego wyprowadzić z kancelaryi.

* * *

Zadużo matek. Garderoba jednego z teatrów paryzkich była co wieczór do tego stopnia przepełniona staremi kobietami, które obsługiwały młode aktorki, że dyrektor ujrzał się w końcu zmuszonym przybić na drzwiach garderoby następujący plakat:

„Należącym do trupy teatralnej artystkom zabrania się stanowczo przyprowadzać ze sobą więcej, niż jedną matkę na raz."

* * *

Dziennikarstwo amerykańskie nie wszędzie jeszcze pozbyło się swoich... właściwości. Zwłaszcza w mniejszych, świeżo powstających miastach, gdzie obywatel nie rusza się z domu bez rewolweru, przybiera i dziennikarstwo odpowiednią postawę. Oto najświeższa próbka. W jedenastym numerze dziennika „Atchison Times", nieliczącego jeszcze miesiąca żywota, znajdujemy następujące ogłoszenie redakcyi do czytelników:

„Nikt nie powinien w naszem mieście prowadzić żadnego interesu, kto nie poda ogłoszeń do naszego dziennika. Jeżeli nie będziecie się u nas ogłaszali i nie pomożecie nam w ten sposób do utworzenia przyzwoitego dziennika, w takim razie my was tak ogłosimy, iż wam włosy dębem na głowach powstaną. Nasz dziennik musi zdobyć sobie byt niezależny, a jeśli przyjdzie do wyboru między jego a waszym żywotem, to niech was lepiej, niż nas, dyabli biorą."

Niewiadomo dotąd, czy grzeczna ta odezwa poskutkowała.

* * *

W wiedeńskim Praterze zasiadło przy stoliku dwóch eleganckich młodzieńców.

Przywoławszy służbę, kazali podać wykwintną kolacyę a wkrótce ukazały się na stole butelki szampana.

Goście siedzący przy sąsiednich stolikach, zaciekawieni pytali garsona o nazwiska obu młodzieńców.

— Panicze ci — odpowiedział garson — mogą

sobie na niejedno pozwolić, są to synowie królowej angielskiej.

Wiadomość ta obiegła wszystkie poblizkie stoliki.

Gdy obaj młodzieńczy zaspokoiwszy głód i ugasiwszy pragnienie, powstali od stołu by opuścić ogród, całe towarzystwo podniosło się, pożegnało ich głębokim ukłonem i zaraz zaczęło rozmawiać głośno o książętach angielskich, podróżujących incognito.

— Ależ proszę państwa — odzywa się nagle zdziwiony garson — wszak ja powiedziałem tylko, że to są synowie królowej angielskiej, to się znaczy synowie właściciela hotelu „pod królową angielską”. Zdawało mi się, że mnie wszyscy odrazu zrozumieć powinni byli.

* * *

Pan X. znany z samochwalstwa i zmyślanych awantur miłosnych, powiada z dwuznacznym uśmiechem:

— Mnie się spytajcie o panią Y. gdyż obecnie cieszę się najwyższemi jej względami.

— A czy pani Y. wie już o tem? — zapytuje jeden z obecnych.

* * *

W jednym z sądów austryackich, przy rewizyi człowieka pobitego, lekarz sądowy w protokule napisał:

„Jedyna rana jaką znalazłem na ciele podsądnego była wielkości dukata.”

Sędziemu nie spodobało się to wyrażenie, kazał je więc przekreślić i podyktował protokuliście:

„Na ciele podsądnego znaleziono ranę wielkości pięć reńskich i 91 centimów.”

* * *

Na górce u Janowskiego choć gwar uliczny już przycichł, bilard nie próżnuje, gra idzie z ogniem jakby się przed chwilą dopiero zaczęła.

— Janie, a która godzina? — pyta jeden z graczy pan X. — markiera.

— Już północ, proszę pana.

— Co, co, co? — zapytuje pan X. najmocniej zdziwiony i zagląda do zegara, który właśnie w tej chwili zaczął wybijać dwunastą.

— Prawda, że już północ, a tam żona czeka mnie z obiadem. A niechże cię! Jak to ten czas leci szalenie.

ROŻNE MYŚLI.

Wielka miłość obowiązków swoich zdolna tworzyć rzeczy wielkie.

De Bonald.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Nakładem Franciszka Czerwińskiego wyszły z druku książeczki napisane przez Stanisława Brzozowskiego:

Żywot Błogosławionej Bronisławy Dziewicy z dodaniem litanii.

Żywot Św. Andrzeja Żorawka, pustelnika.

Żywot Św. Pawła pierwszego pustelnika.

Żywot Św. Benedykta Męczennika.

Błogosławiony Sadok i Towarzysze.

Najświętrza Marya Panna Studzieniecka.

Treny w Warszawskim Hygeopolu śpiewane przez Wł. Kleczkowskiego fabrykanta bulionu w 1887 r. Cena 5 kop.

Miesięcznika Geograficzno-Etnograficznego **„Wisła“** wyszedł zeszyt 5 tomu I i zawiera: Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiej przez Edwarda Czyńskiego; dalszy ciąg. Czary i Czarownice w Polsce Karłowicza; dalszy ciąg. Jakie ludy mieszkały przy ujściu Wisły w czasach najdawniejszych p. Szymana Matusiaka. Wśród ludu krakowswkiego Stefanii Ulanowskiej. Próbki piosenek litewskich; dalszy ciąg.

Filozofii Syntentycznej Spencera wyszedł nakładem Redakcyi Głosu zeszyt II tomu I.

Katalog Dzieł Nakładowych i w większej ilości zakupionych przez księgarnię Gebethnera i Wolffa.

Sprawozdanie Towarzystwa Opieki nad Ubogiemi Matkami oraz ich dziećmi w Warszawie. Rok 1885 i 1886 r.

Na rok 1888 ukazał się już Kalendarz Wieku w obiegu, który prócz zwykłej części kalendarzowej i obfitych a starannie opracowanych działów informacyjnych, i adresowego, zawiera szereg, artykułów jak życiorysy: J. I. Kraszewskiego, W. Szymanowskiego, J. Królikowskiego, J. Lama, treściowe wspomnienia pośmiertne znakomitszych ludzi z r. b. oraz poezje i powieści: W. Gomulickiego, Miriama, Kl. Junoszy, Al. Półkozica, Bronisława, W. Wyleżyńskiej i innych.

Część literacką uzupełniają jeszcze „Zmiany prawodawcze z 1886, 7” oraz obszerne, szczegółowe i ściśle opracowane przeglądy: spraw rolniczych gospodarstwa społecznego, przemysłu fabrycznego i spraw teatralnych.

Ozdobę rytowniczą stanowi siedm rysunków.

Pożyteczne i sumienne wydawnictwo współpracowników „Wieku“, którego treść powyżej przytoczyliśmy, nie potrzebuje słów zalecenia, bo prawdziwa jego wartość, którą od lat trzech ogół oceniać miał już sposobność, bezwątpienia sprawi jak to już i w przeszłym zdarzyło się roku, że cały nakład wkrótce wyczerpany zostanie rozchodząc się po kraju szeroko. Cena kop: 50.

ZAWIADOMIENIA.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyj nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 42 wyszedł z druku i zawiera:

Dębowa Góra i Biały Cypel. — W trosce (wiersz.) Na smoczej górze.—Na podwórzu rolnika w Szlązku (drzew.) — Dax (z drzew.) — Mała książeczka. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Marychna. — Grymaśnica poprawiona (wiersz).—Mała Kasia (z drzew.) — Kołysanka (wiersz). — Dobry Staś. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Октября 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Opis do N-ru 42.

N. 1—2. Kostyum ze stanikiem z baskiną do polowania. Model kroju draperyi na ryc. 41.

Kostyum do polowania podany na ryc. 1 odrobiony był z sukna zielonego w dwóch cieniach; spódniczka krótka ułożona w około w podwójne kontrafałdy, plastron jaśniejszego cieniu przypięty z przodu na staniku guziczkami, kapelusik z okrągłą główką, stanowią ładne myśliwskie ubranie. Także suknia z dłuższą spódnicą, odrobiona z ciężkiego kaszmiru marynarskiego koloru, stanowić będzie kostyum spacerowy, jaki przedstawia r. 2. Kontrafałdy 18 cent. szerokie, są przy obydwóch kostyumach u dołu, przestębnowane kilka razy na 6 cent. szeroko, a w połowie długości spódnicy, złączone ozdobnemi ściegami, których próbkę dajemy na rycinie 38 w N-rze 18 Tyg. mód. Obiedwie części przedniej draperyi, przykrojone podług *a* ryc. 41, zeszywają się z sobą od 1 do 70, w górze daje się zaszewki i wszywa w pasek, a brzegi boczne składa się w fałdy, widoczne na ryc. 2. W dwóch brytach tylnych *b* zostawia się w górze rozporek, a brzegi górne fałduje się razem z dodanemi z wierzchu częściami *c*, szeroko obrębionemi u dołu i wszywa w pasek.

N. 3. Ubranie myśliwskie ze stanikiem kaftaniczkowym. Model kroju draperyi na ryc. 33.

Właścicielki gruntów na których odbywa się polowanie, nawet nie biorąc w niem udziału, lubią mu się przypatrywać, ubrane w myśliwski kostyum, lub przynajmniej robić honory przy myśliwskiem śniadaniu; odpowiedni do tego kostyum przedstawia ryc. 3. Model odrobiony był z kiprowanego, mięsistego, popielatego materyału, przybranego zielonem suknem i guzikami z rogów bawolich, dwojakiej wielkości. Fason spódniczki 200 cent. szeroki, zrobiony był z lekkiej, popielatej, jedwabnej materyi; zwierzchnia spódniczka 360 cent. szeroka, złożona w szerokie kontrafałdy, oszyta była u dołu 12 cent. szerokim pasem sukna zielonego. Na ryc. 33 dajemy model kroju draperyi przedniej, złożonej z dwóch części na środku skośnie zeszytych, z brzegiem przy pierwszym rzędzie fałd do 11 cent., przy drugim do 20 cent. sfałdowanej, w górze dla gładkiego leżenia z każdej strony w dwie zaszewki zaszytej i w odstępie 12 cent. od paska, przyszytej na spódnicy. Dolny brzeg podszyty jest 6 c. szeroką listewką sukna stanowiącą zarazem wązką wypustkę. Z tyłu dodany bryt prosty lekko podpięty. Stanik kaftaniczkowy z kamizelką, spięty w górze patką z guzikami, ma wypustki, patki przy kieszonkach i kołnierz ze sukna. Kapelusz filcowy ciemno popielaty, ubrany wstążką zieloną i piórami dzikich ptaków.

N. 5—6. Fasony zimowych kapeluszy.

Nowe fasony kapeluszy podane na ryc. 5 i 6 odznaczają się także pięknością materyału. Kapotka z niebieskiego filcu ryc. 5, którą kładzie się na tył głowy, ma główkę z przodu 10 z tyłu 7 cent. wysoką, a rondo w górę podniesione z przodu 13 cent. szerokie, z boków do 3 cent. zwężone, podszyte pluszem niebieskim na wierzch 1 cent. wywiniętym. Okrągły filcowy kapelusz piaskowego koloru, ryc. 6, cały suto naszyty sutaszem, ma główkę 13 cent. wysoką, a rondo 11 cent. szerokie, z brzegu trochę wywinięte.

N. 10—11. Płaszczyk formą paletota.

Przody płaszczyka przy zapięciu na guziki zaszyte są w trzy wązkie fałdy plisowane, a plecy i boczki w głębokie fałdy złożone do spodu. Na boczkach z tyłu przyszyte są jedwabne sznury z grelotkami związane z przodu, skręcone z jedwabiu orzechowego i białego, odpowiednio do płaszczyka zrobionego z szewiotu orzechowego w paski z prążek białych. Orzechowa jedwabna podszewka dana w kapturek; mankiety i otwory kieszeni parę razy przestębnowane.

N. 13 i ryc. 23 w N-rze 43. Suknia z materyału gładkiego i w kratę. Model kroju na ryc. 36.

Ryc. 13 i 23 w N-rze 43, przedstawia kostyum jesienny lub zimowy odrobiony z gustownie połączonego materyału gładkiego i w kratę. Stanik w kratę zdobi ubranie z gładkiego materyału zakończone z tyłu zębami 14 cent. długiemi, a z przodu przedłużone do 20 cent. Do przodów i boczków dodane z gładkiego materyału patki baskinowe 7 i 3 cent. szerokie; plecki dopełnia suto fałdowane karoczko. Rękawy i draperya na spódnicy w kratę są z gładkiego materyału. Draperyę przednią widoczną na ryc. 13 przykroić trzeba podług *a* ryc. 36, na której środek oznaczony jest linijką i fałdy dokładnie wskazane; *b* oznacza draperyę boczną z jednej strony na część *a* zachodzącą, dopełnioną z tyłu brytem prostym *c*, któren z drugiego boku zachodzi także na draperyę przednią.

N. 16 i 17. Koszulka trykotowa (cache-corset).

Obiedwie koszulki jako miękkie i gładko przylegające mogą zarówno być noszone pod albo na gorsecie. Ryc. 16 przedstawia elegancki trykot zrobiony z różowego jedwabiu, ozdobiony wstawką koronkową 5 cent. szeroką, robioną na klockach i oszytą przy wykroju koronką 1 c. szeroką, przyrobioną do wstawki i trykotu drabinką ze słupków, w którą nawłóczy się plecionkę jedwabną do przyciągania. Trykot ryc. 17 robiony był w paski naprzemian z jedwabiu kremowego i cienkiej włóczki, a obrobionego przy wykroju pachy i szyi krzyżowanemi, 3 razy nawijanemi słupkami z pikotami, robotą szydełkową, w które także nawłóczy się plecionkę jedwabną.

N. 19. Koronka lambrekinowa z wisiadełkami, robiona szydełkiem.

Do takich koronek służy nowy rodzaj materyału grubego, świecącego, zwanego sznureczkiem szydełkowym Ackermanna. Robi się najpierw kwadraty w róg obrócone, połączone ze sobą; każden kwadrat zaczyna się 16 o. łańcuszka, i robi tam i napowrót: rząd 1. W piąte o od końca łańcuszka 1 węzeł 4 razy nawijany, przeciągnięty jedną pentelką i przerobiony 1 o., dalej 6 takich węzłów co drugie o. łańcuszka. Rząd 2 do 6 rzędu odwracając robotę zaczynać 3 o. łań., następnie 7 węzłów 4 razy nawijanych, brać w o. pomiędzy węzłami poprzedzającego rzędu. Po skończeniu rzędu 6-go nie ucinając nitki zacząć kwadrat następny 16 o. łań. i robić jak poprzedzający. Dla zapełnienia próżni, w górze pomiędzy kwadratami * zrobić 1 o. śc. w narożne o. kwadratu, 4 o. pow. 1 sł. dwa razy nawijany w brzeżne o. trzeciego rzędu, 4 o. pow. 1 sł. 4 razy nawijany, któren przerabia się tylko do połowy, a kończy dopiero po zrobieniu sł. 2 razy nawijanego zajętego w następny kwadrat, (sposobem wskazanym na ryc. 19,) znów 4 o. pow. 1 sł. dwa razy nawijany, 4 o. pow. powtarzać od *. Nagłówek stanowią 2 rzędy węzłów.

N. 20. Serwetka z szerokim szlakiem szydełkowym.

Szlak szydełkowy robiony był z kordonkowej bawełny kolorowej, przewłóczonej cieniutkim, krętym świecącym sznureczkiem miedzianego koloru. W środek wszywa się do miary szlaku dopasowane tło z pluszu jedwabnego brązowego. Pięciolistne rozety szlaku, naprzemian szafirowe z niebieskim i brązowe z piaskowym kolorem, zaczyna się kółkiem z o. 12—14, robi oddzielnie i spaja w robocie jedne z drugiemi. Dwa listki górne są koloru kółka, a 3 dolne drugim kolorem; na każden listek trzeba 4 o. pow. 4 sł. dwa razy nawijanych i znów 4 o. pow. Na zewnątrz obrabia się rozety dwoma rzędami ząbków wskazanych na ryc. 20; kolorem brązowym i piaskowym; a na wewnątrz najpierw łańcuszkiem przyrabianym do rozet o. śc. i sł. Tak łańcuszek jak i dwa pierwsze rzędy ściegu plisowanego są piaskowe, dwa następne brązowe. Po tych zrobić drabinkę ze słupków kolorem piaskowym, przewleczoną sznureczkiem miedzianym i znów pasek plisowany brązowy i piaskowy. Formowanie narożników przez gubienie wskazuje ryc. 20.

N. 21. Próbka roboty szydełkowej na serwetkę.

Serwetka z kwadratów matowych na tle ażurowem, której wielkość może być dowolna, na modelu miała kwadraty robione bawełną brązową, a tło ażurowe niebieską. Kwadraty zaczyna się od dołu 5 o. łańcuszka, w pierwsze z nich wziąć 6 sł. odwrócić robotę zrobić 4 o. pow. w pierwsze z nich 6 słup. 1 o. pow. 6 sł. w 4 o. pow. Trzy następne rzędy jak drugi powiększając liczbę muszek stopniowo do pięciu, następne rzędy zmniejszają się do jednej muszki. Zarabianie tła wskazuje dokładnie ryc. 21.

N. 22. Koronka szydełkowa w gwiazdki.

Gwiazdki robić trzeba oddzielnie zaczynając kółkiem z 8 lub 10 oczek, obrobionem 24 słup.; (na pierwszy sł. 3 o. pow.) w 2 rzędzie na 1-szy sł. 3 o. pow. 5 o. pow. dalej na każden promień 5 o. pow. w które napowrót 1 o. śc. w 4 o. pow., 1 pół sł. w 3, i 2 sł. w o. 2 i 1-sze, 1 sł. co 2 o. obrobienia środkowego. W rzędzie górnym gwiazdy spajane są w robocie za dwa promienie. Nad gwiazdkami dolnemi dany szlak w zęby, złożony z przedzielanych rzędami ażurowemi; szlaczek ten przyrabia się do 5-ciu promieni każdej gwiazdki; ilość oczek w rzędach szlaczku i dalsze wykończenie koronki dokładnie wskazuje ryc. 22.

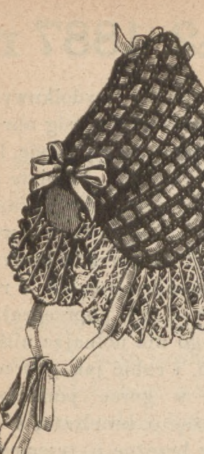
N. 24. Wachlarz z piór.

Na zręcznie ułożonych piórach blado lila, w oprawie z drzewa politurowanego na kolor matowego srebra, malowane są fiołki i konwalie; a na zwierzchniem skrzydeł-



N. 1—2. Ubranie myśliwskie ze stanikiem z baskiną. Model kroju draperyi ryc. 41.

N. 3. Ubranie myśliwskie z kaftaniczkowym stanikiem. Model kroju draperyi ryc. 33.



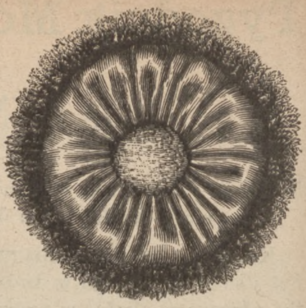
N. 4. Kapelusik robotą szydełkową dla małej dziewczynki. Zobaczyć przód na ryc. 20 w N. 43. Próbka roboty szydełkowej na ryc. 12, model kroju na ryc. 42.



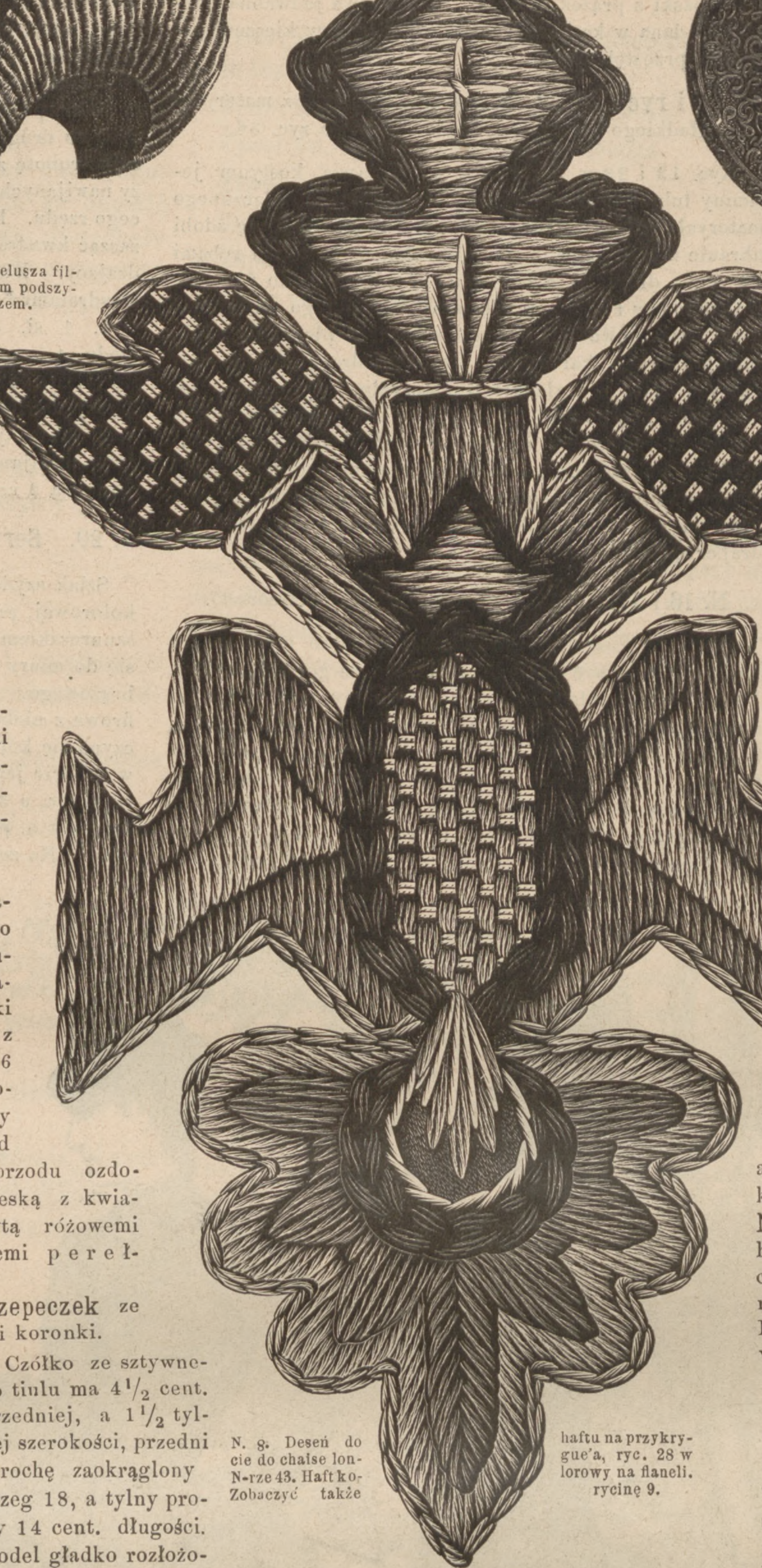
N. 5. Fason kapelusza filcowego z rondem podszytem pluszem.



N. 6. Kapelusz filcowy wyszyty sutasz.



N. 7. Lewa strona kulki śniegowej do chorągwi ryc. 3 w N-rze 43.



N. 8. Deseń do haftu na przykrycie do chaise longue'a, ryc. 28 w N-rze 43. Haft kolorowy na flaneli. Zobaczyć także rycinę 9.

ku wachlarza umieszczony jest bukiecik ze świeżych fiołków i konwalii.

N. 25. Wachlarz okrągły malowany.

W ramce okrągłej złoconej, mającej 23 cent. średnicy rozpięty jest wachlarz malowany na materyi jedwabnej, przytwierdzony do ładnej rączki złoconej 23 cent. długiej. Takich wachlarzy bez malowania, dostać można w rozmaitych kolorach, ażeby ozdobić je własnoręcznem malowaniem lub haftem.

N. 26. Pasek ze wstążki.

Do staników bluzkowych dodają się paski ze skóry albo wstążki, odpowiedniego do sukni koloru; te ostatnie właściwe są do sukien z muślinu lub innych lekkich materyałów. Ryc. 26 przedstawia pasek ze wstążki repsowej z pikotami, 6 cent. szerokiej, zapięty z boku pod rozetą, a z przodu ozdobiony arabeską z kwiatów, wyszytą różowemi szmelcowanemi perełkami.

N. 27. Czepeczek ze wstążki i koronki.

Czółko ze sztywnego tiulu ma 4½ cent. przedniej, a 1½ tylnej szerokości, przedni trochę zaokrąglony brzeg 18, a tylny prosty 14 cent. długości. Model gładko rozłożony na ryc. 27, zrobiony był z 74 cent. długiego a 7 cent. szerokiego kawałka koronki jedwabnej robionej na klockach, wyszytej złotym sznurem i paciorkami drewnianemi osnutemi jedwabiem. Pod koronką nad czołem i pomiędzy suto nadmarszczoną na wierzchu czepeczka, upięte są kokardy i końce ze wstążki aksamitnej 5 cent. szerokiej przerabianej złotem i deseniem w kolorach; pąsowym, zielonym i brązowym, oraz ze wstążki brązowej repsowej z pikotami, 6½ cent. szerokiej.

N. 28. Czepeczek negliżowy.

Pod czepeczek negliżowy formą zbliżony do czapeczek dziecinnych, daje się czółko ze sztywnego tiulu, mające 7 cent. środkowej szerokości, 29 cent. długości w brzegu tylnym, prostym, a 32 cent. w brzegu przednim z boków podciętym. Z tyłu dodaje się pasek tiulowy 2 cent. szeroki a 21 cent. długi, na środku w ząb szpiczasty zaszyty, przyszyty do brzegów czółka, do którego zarówno jak i do paska wszywa się denko, złożone z czterech kawałków koronki 4 cent. szerokiej i z trzech kawałków wstążki, 2 cent. szerokiej. Denko na środku z przodu, zaszywa się w kilka fałdek, a poprzecznie podpiera się paskiem tiulu 14 cent. długim, podszytym drucikiem. Brzeg czepeczka w koło oszywa się drobno fałdowaną koronką, która drugi raz naszywa się na czółku. Do opasania i ubrania czepeczka w sposób wskazany na ryc. 28 służy wstążka atłasowa w muszki z pikotami, 2½ cent. szeroka.

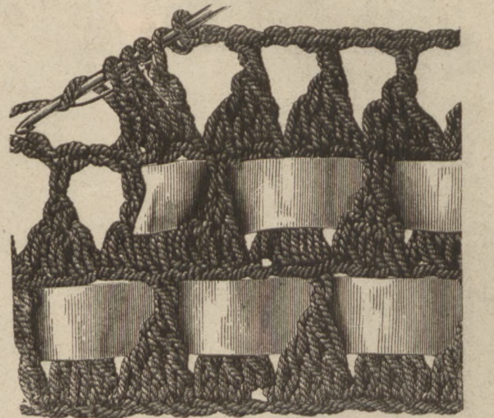
N. 29 i 30. Mantylka hiszpańska.

Wyrób tkacki na warsztaciku ręcznym, pięciu czółenkami. Próbka tkaniny w połowie naturalnej wielkości na ryc. 14.

Mantylkę hiszpańską układa się z dwóch szarf 32 cent. szerokich, a wraz z frendzlą 10 cent. szeroką 186 cent. długich, które na modelu były z warsztacikowej tkaniny zrobionej z włóczki angielskiej; można jednak odrobić je z każdego wełnianego materyału na podszewce jedwabnej albo bez podszewki. Obiedwie części zeszywają się ze sobą z przodu na 48-50a z tyłu na 64—68 cent. długości; w środku pozostawia się nie zeszyty otwór na wykrój pod szyją, do którego dodaje się ranwers kołnierzowy z atłasu, pluszu lub aksamitu, zrobiony na sztywnej podszewce. Mantyl-



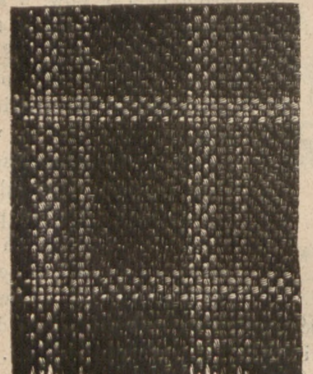
N. 10—11. Długi płaszczyk od deszczu.



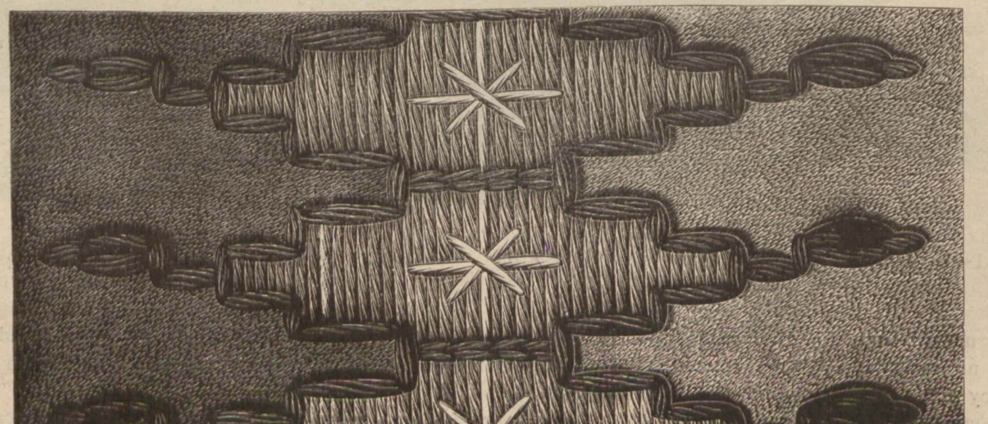
N. 12. Próbka roboty szydełkowej do ryc. 4 i do ryc. 20 w N-rze 43.



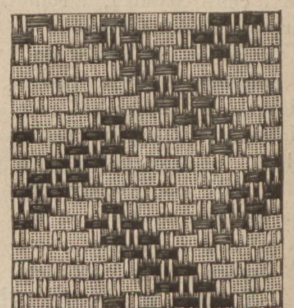
N. 13. Suknia ze stanikiem ubranym aksamitem. Zobaczyć plecy na ryc. 23 w N-rze 43. Model kroju draperyi ryc. 36.



N. 14. Próbka roboty tkackiej do mantylki hiszpańskiej ryc. 29 i 30.



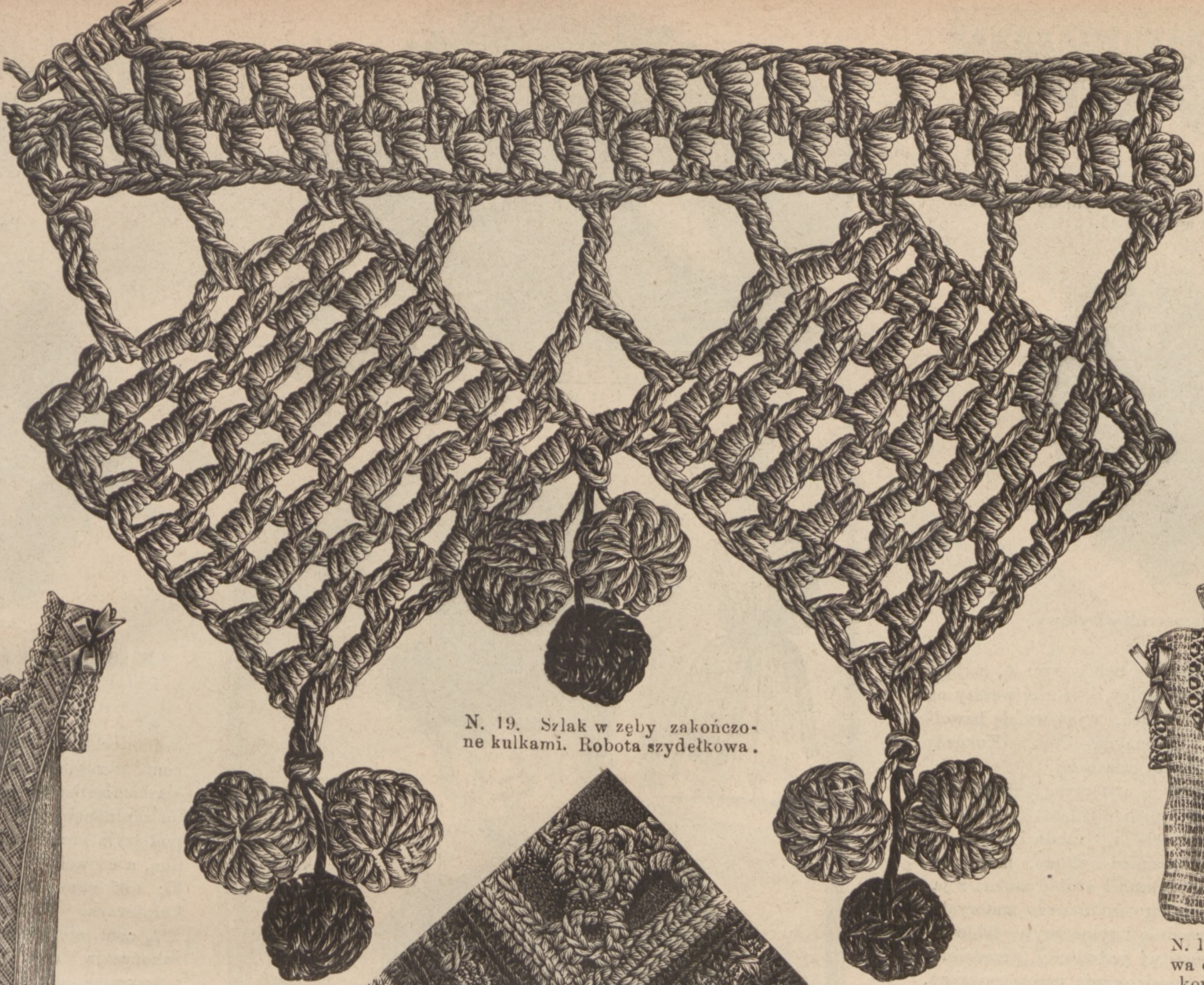
N. 9. Deseń do haftu na zeszyciu pasów w przykryciu chaiselongue'a ryc. 28 w N-rze 43.



N. 15. Wyszycie na tle tkanem w owiesek, do serwety ryc. 25 w N-rze 43,

kę wkłada się przez głowę, a na wcięciu w stanie obciska paskiem z tego co ranwers materyału. Na ramionach można mantylkę zwężyć przez kilkakrotne przemarszczenie jak na ryc. 29, albo spuścić nakształt pelerynki, jak na ryc. 60, w takim razie trzeba na wcięciu w pasie zaszyć z każdej strony kilka fałdek. Na ramionach i z przodu kokardy ze wstążki.

N. 32. Sukienka z długim stanem dla małej dziewczynki.



N. 19. Szlak w zęby zakończone kulkami. Robota szydełkowa.

pasek, a na środku podpina w parę fałd.

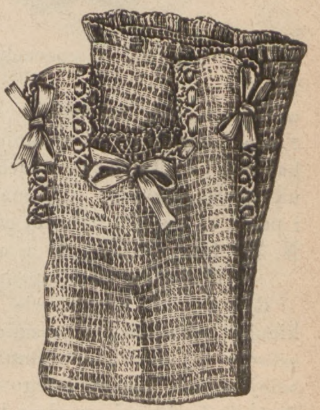
Opis do N-ru 43.

N. 1 i 6. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki, ozdobiona pospiesznym haftem. Deseń do haftu na rycinie 6.

Model sukienki odrobiony był z popielatego kanwowego materyału w kratę pąsową, ze szlakiem dopasowanym. Można



N. 16. Koszulka trykotowa z koronkowemi wszywkami (cache-corset).

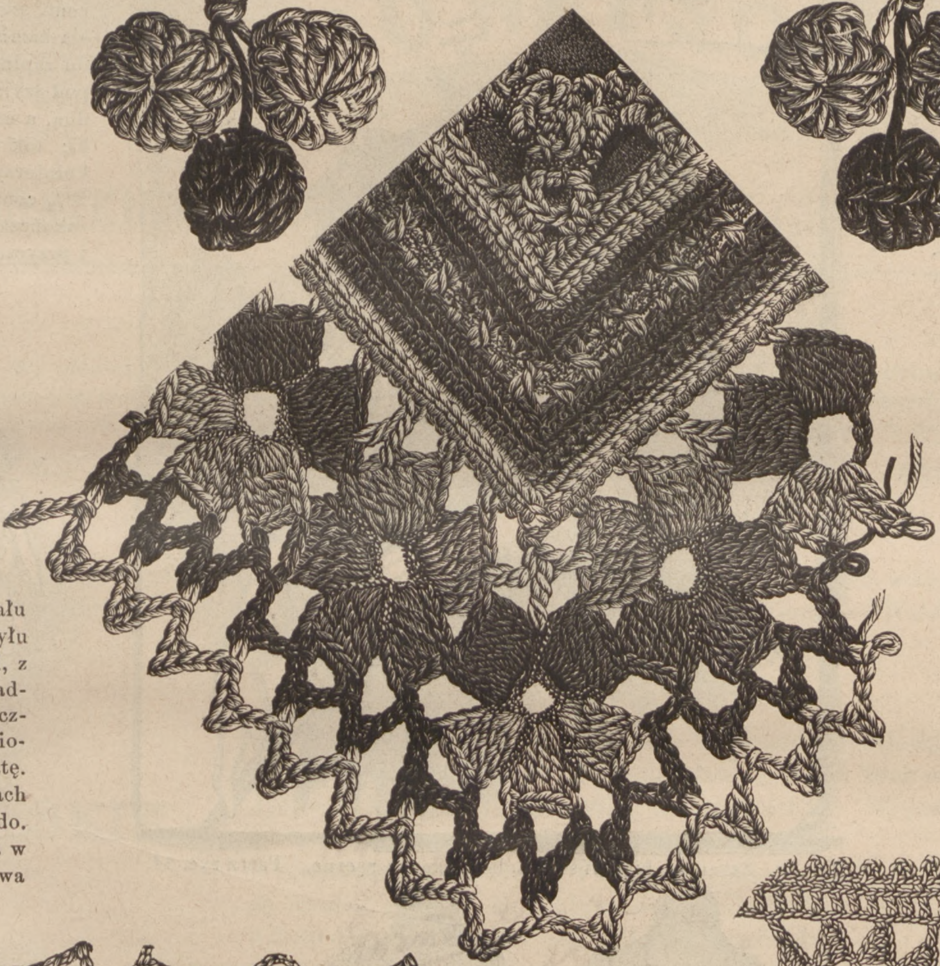


N. 17. Koszulka trykotowa obrobiona szydełkową koronką (cache-corset).

także odrobić sukienkę z chustek ze szlakami. Stanik z prostym, 5 cent. szerokim karczkiem, składa się z przodu i plecków na środku 6 cent. szeroko przymarszczonych. Spódniczkę zmarszczoną 27 cent. długą a 166 szeroką, zakończoną obrębem 4 cent. szerokim, przyszywa się do stanika; szew przykrywa pasek ze

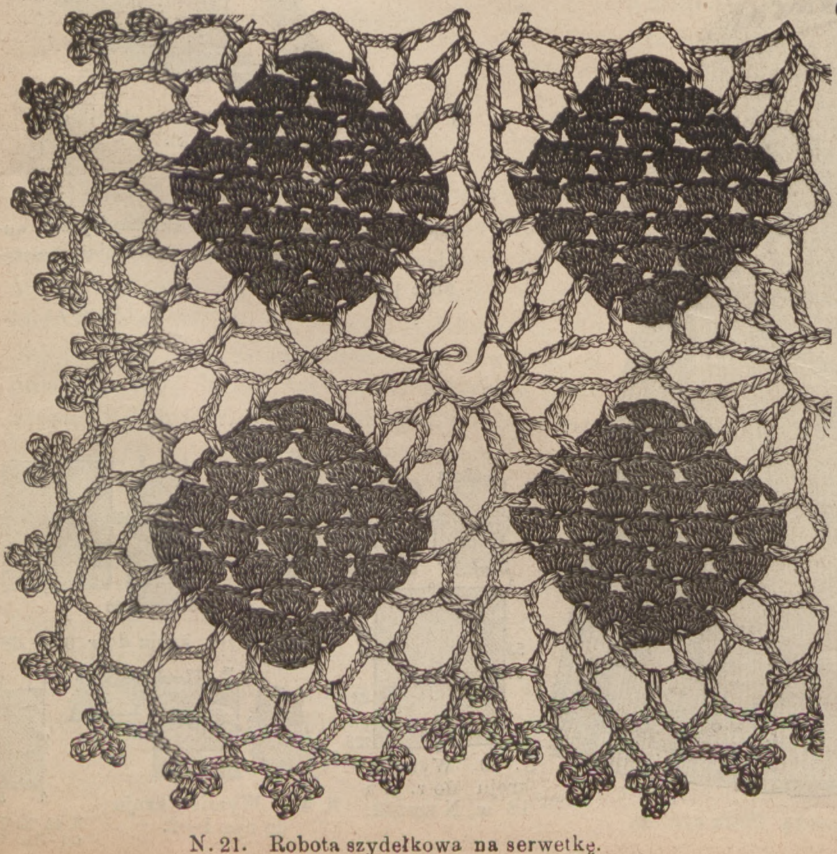


N. 18. Suknia przedstawiona z tyłu, przód patrz ryc. 14 w N. 43.



N. 20. Szlak szydełkowy do serwety.

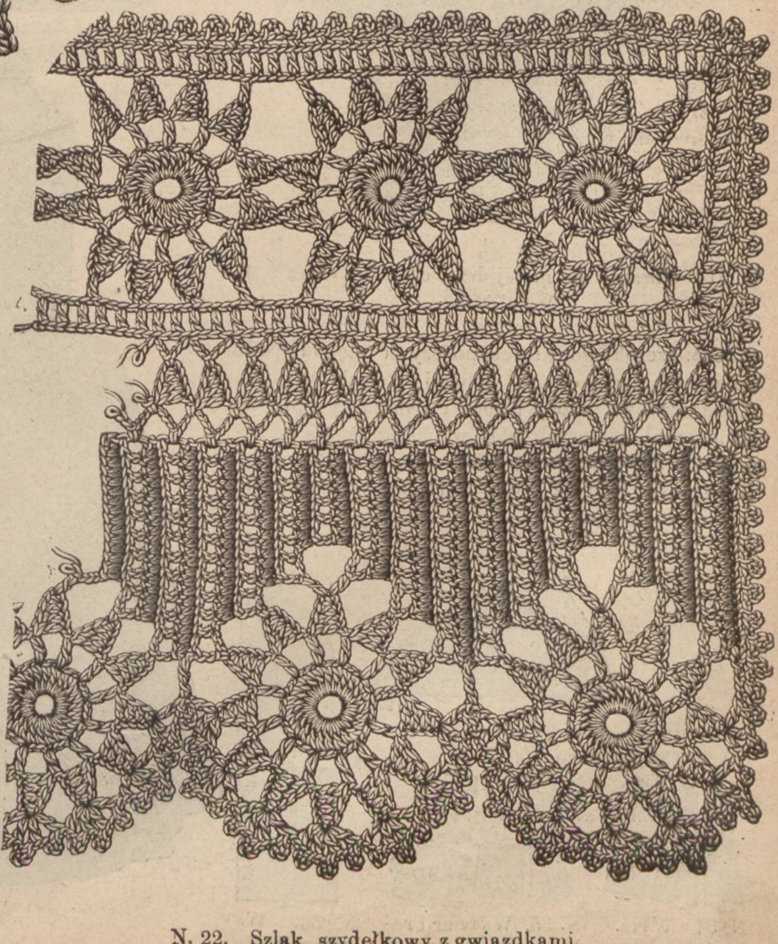
Do długiego stanika z materyału trykotowego w kolorze bordo, z tyłu gładkiego i zapinanego na guziczki, z przodu suto przymarszczonego na gładkiej podszewce, dodana jest spódniczka fałdowana 28 cent. długa, zrobiona z materyału pledowego w kratę. Mały karczek, ubranie na ramionach i patki na mankietach z pluszu bordo. Szarfa 18 cent. szeroka przyszyta w górze szwem odwracanym, przykrywa przyszycie spódniczki.



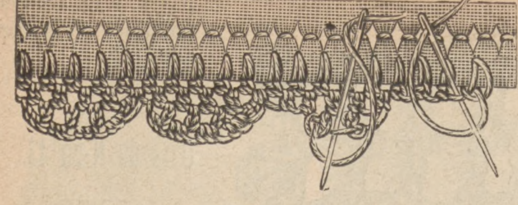
N. 21. Robota szydełkowa na serwetkę.

N. 37—38. Sukienka z długą draperyą. Model kroju na ryc. 40.

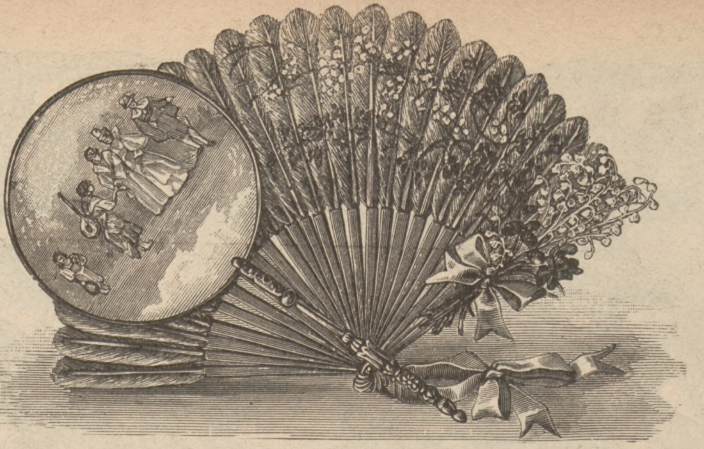
Spódnicę (o ile ta widoczna jest z pod draperyi) pokrywa z przodu wolant plisowany, a z tyłu i z boków w kontrafałdy złożony. Litera *a* na ryc. 70 oznacza jeden z dwóch brytów przednich, zeszytych ze sobą od 1 do 100, w górze mających zaszewki, a z boków sfałdowanych, *b* oznacza połowę tylnego bryta, który w górze i z boków fałduje się podług krzyżyków i punktów i wszywa w



N. 22. Szlak szydełkowy z gwiazdkami

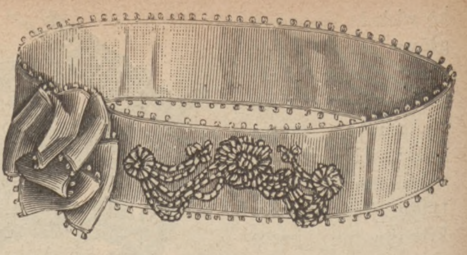


N. 23. Ząbki ściegiem koronkowym do ręcznika ryc. 9 w N rze 43.

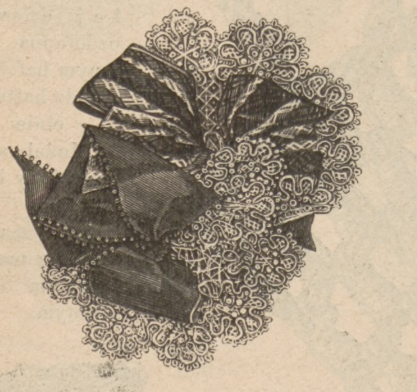


N. 24 Wachlarz składany zdobny malowaniem.

N. 25. Wachlarz płaski, okrągły zdobny malowany.



N. 26. Pasek ze wstążki.



N. 27. Czepeczek wizytowy.



N. 28. Negliżyk z wstążki i koronki.

wstążki 4 cent. szerokiej. Szlak ryc. 6, mający 7 cent. szerokości na spódnicy, a trochę węższy na karczku i krótkich rękawkach, wyszywa się bawełną pąsową, podług obliczonych nitek. Kokardy i pasek ze wstążki pąsowej atłasowej.

N. 2 i 10. Sukienka z otwartym, kaftaniczkowym stanikiem, dla panienki lat 10—13.

Ryc. 2 i 10 przedstawia z przodu i z tyłu sukienkę odrobioną z kaszmiru i pluszu; mniej kosztowne a jednak ładne ubranie zrobić można z jaśniejszego i ciemniejszego wełnianego materyału. Spódniczka której przednie i tylne bryty fałdowane pluszowe albo z materyi jedwabnej, przedzielają 60 cent. szerokie, poprzecznie przemarszczane, boczne bryty z kaszmiru, przyszywa się do paska 5 cent. szerokiego, któren podszywa się od spodu do stanika, parę cent. poniżej wcięcia w pasie. Kaftaniczkowe przody i boczki stanika są z pluszu. Zwierzchni materyał pleców marszczy się na ramionach i przemarszcza kilka razy, poniżej wcięcia w pasie, a brzeg dolny krótszy o 5 cent. od kaftaniczka, dopełnia kokarda upięta z 25 cent. szerokiego kawałka kaszmiru. Bufiasta kamizelka zrobiona na gładkiej, z przodu zapinanej podszewce, poniżej wykroju pod szyją przemarszcza się na tasiemce w jedną, a na wcięciu w pasie w dwie małe bufki; tak samo przemarszczany jest stojący kołnierzyk. Kokardy ze wstążki z pikotami $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiej, zdobią przemarszczenia, zakończają część fałdowaną w rękawach, i przyczepione są na ściętych w ząb mankietach pluszowych. Przy skromniejszej sukience, wszędzie materyał ciemniejszy zastępuje plusz.

(D. n.)



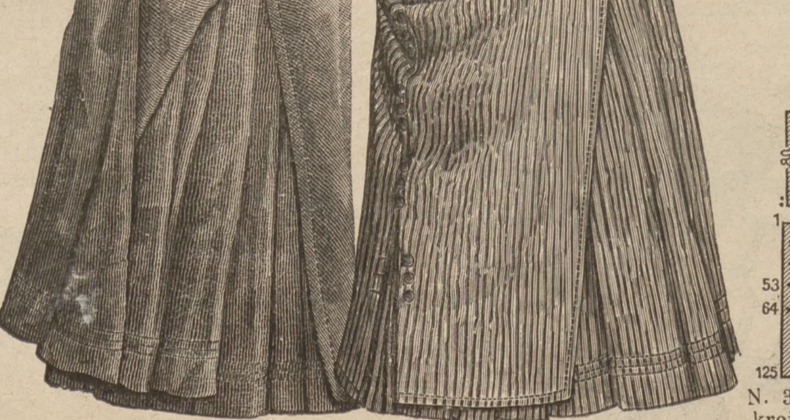
N. 29—30. Zarzutka hiszpańska. Robota tkacka ręczna. Patrz ryc. 14.



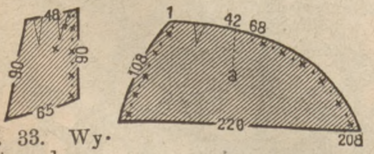
N. 31 Ubranie dla małej dziewczynki. Patrz r. 11 w N-rze 43.



N. 32. Sukieneczka z długim stanikiem dla dziewczynki.



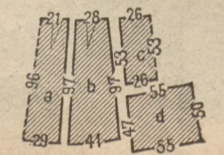
N. 37—38. Suknia z długą draperyą. Patrz ryc. 40.



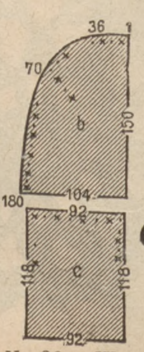
N. 33. Wymiar draperyi do ryc. 3.



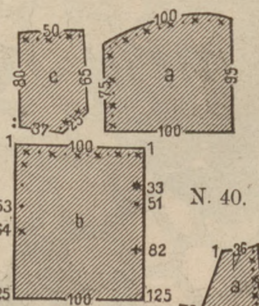
N. 34. Wym. kroju spódn. r. 4 w N. 43.



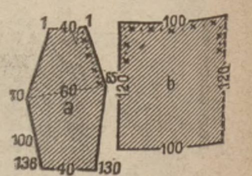
N. 35. Wymiar kroju spódnicy ryc. 5 w N-rze 43.



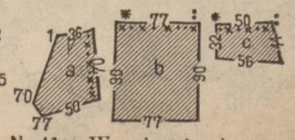
N. 36. Wymiar kroju do ryc. 13.



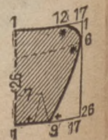
N. 39. Wymiar kroju do r. 17 i 18 w N rze 42.



N. 40. Wym. kroju do r. 37—38.



N. 41. Wymiar kroju do ryc. 1—2.



N. 42. Krój kapotki dla dziecka ryc. 4.